

EDYTA KOWALSKA

ŚCIEŻKI PRZESZŁOŚCI



INNI O KSIĄŻCE

„Ścieżki przeszłości" to podnosząca na duchu, optymistyczna i wywołująca wiele emocji książka, od której nie sposób się oderwać. Opowieść potwierdzająca, że przeszłość cały czas łączy się ściśle z przyszłością, kreując ludzkie losy. Jestem zachwycona!

Wioleta Sadowska, *Subiektywnie o książkach*

Zapierająca dech w piersiach kontynuacja losów bohaterów „Ścieżek życia", w której młodzięcza, chora fascynacja drugim człowiekiem może prowadzić do tragedii i zmienić losy pokoleń. Pytanie, czy po latach można odkupić grzechy własnej młodości.

Klaudia Skiedrzyńska, *Nowe Horyzonty*

„Ścieżki przeszłości" to powieść ukazująca kobiecą siłę, która drzemie w każdej z nas. Przepelniona dobrem i ciepłem. Przekonująca, że nawet gdy odchodzą najbliższe osoby, musimy żyć dalej z nadzieją na lepsze jutro. Polecam.

Agnieszka Miśkowiec, *Książka Non Stop*

Książka jest rewelacyjna. Czytając opowieść ma się wrażenie, że przebywa się w jej epicentrum, wydarzenia zaskakują, zadziwiają, uczą, opowiadają o trudach życia podczas wojny, a także sprawiają, że czytelnik wiele razy uroni łzę. Gorąco polecam.

Magda Zimna, *Czytamy, bo kochamy*

CZEŚĆ PIERWSZA

*Człowiek zna więcej niż aniołowie.
Bo zna cierpienie.*

Jadwiga Łuszczewska

ROZDZIAŁ I

Wrzesień, 1939

Weronka siedziała na snopku słomy w małej obórcie. Była noc, dookoła panowała cisza. Wszystkie zwierzęta mieszkające tutaj, oprócz Krasuli, spały. Przez uchylone drzwi wpadało mocne światło księżyca, oświetlając niewielką zagrodę oddzielającą dwie małe świnki od Krasuli i Kasztana. W kącie zaś spały zbite w jedną kulę trzy króliczki: Łatek, Łapka i Łurwis. Sama nadała im te imiona - Łatek był cały biały z jednym wyjątkiem - miał czarną łatkę za lewym uchem. Łapka była jego przeciwieństwem - czarna z czterema białymi łapkami. Łurwis - nie dość, że był największy z rodzeństwa, to w dodatku największy urwis. A że imiona dwóch króliczków rozpoczynały się od „Ł”, Weronka postanowiła, że jego imię również musi zaczynać się na tę literę. Dlatego dostał imię Łurwis. Zresztą jej ukochana babcia Hela tak właśnie mówiła - zawsze przed rozpoczynającym wyraz „u” wymawiała „ł”. W ten sposób powstało wiele ciekawych słów. Ich znaczenia niektórzy musieli się domyślać. „Idź no do łuli, czy aby pszczoły słyszą” - mówiła czasem do Weronki, która czym prędzej pędziła do stojących na polance za stodołą dwóch uli i patrzyła, czy z pszczołami wszystko w porządku.

Weronka bardzo kochała swoją babcię Helę i długo płakała, kiedy późną wiosną ta zmarła.

- Łubranie na śmierć mam w kuferku! A pantofle mają być wyczyszczone, pamiętajcie! - powtarzała wszystkim domownikom. - Kazię Grzybową córka pochowała w brudnych butach! A Kazia taka czysta zawsze była! Chałupa wysprzątana, ogródek wypielony, podwórko wyzamiatane. Ale Adela, flejtuch baba! Matkę w brudnych butach pochować?! - biadoliła. Dlatego, kiedy babcia Hela umarła, zapłakana Weronka wyczyściła jej i tak czyste pantofle.

Teraz patrząc na niebo przez uchylone drzwi, pomyślała o babci i szepnęła: - Gdzie jesteś, babciu? Tyle się tu dzieje... Wiesz, Jasinek zaczyna chodzić. Wczoraj przytrzymał się łóżka, wstał i sam poszedł do mamy, która stała koło drzwi. Śmiesznie szedł - nogi miał ugięte, trzęsły mu się jak galareta ciotki Beaty na Wielkanoc. Ale doszedł do mamy. Dzisiaj znowu próbował i przeszedł od łóżka do stołu. Chyba mu się spodobało, bo się śmiał, klaskał i miał takie wielkie oczy. A pamiętasz? Jutro mam urodziny. Kończę trzynaście lat! Czuję się już taka dorosła. Nie mogę się doczekać wiosny. Pójdę na potańcówkę. Może Franek mnie zaprosi. Ten, co mieszka za lasem. Pamiętasz go? Czasem przychodził po miód. Franek powiedział mi kiedyś na łące, że mnie lubi. Ja jego też lubię. On jest taki ładny. Prawie jak mąż mojej nauczycielki - pani Leny. A wiesz, że nie chodzę do szkoły? Szkopy napadły na nas i szkoła jest zamknięta. Wszyscy mówią, że wojna nie potrwa długo, pomogą nam żołnierze z krajów alianckich i szybko wypędzimy ich z powrotem do Niemiec. Żeby tylko szybko nam pomogli, bo

ciotka Beata mówi, że są coraz bliżej, mordują ludzi, chcą, żeby wszyscy ich się bali. Ja się boję, babciu. Bardzo. - Łza spłynęła jej po policzku, wytarła ją i mówiła dalej szeptem, pochlipując: - A wiesz, siedzę w obórcie i pilnuję Krasuli. Powinna niedługo urodzić. Będzie miała ślicznego cielacz-ka. Jeszcze nie wiem, jak mu dam na imię. Zobaczymy, czy będzie chłopczyk, czy dziewczynka. - Weronka uśmiechnęła się delikatnie i pociągnęła nosem. - Tata mówi, że to już ostatni raz, bo to stara krowa i trzeba dać jej spokój - przerwała, a po chwili ciągnęła: - Żeby tylko wszystko poszło dobrze. Pamiętasz, ostatnio o mało co nie umarła. Musiała przyjść stara Krzaczucha, żeby jej pomóc. Dlatego tu siedzę i pilnuję. Potem się zmienimy i przyjdzie mama, a później tata.

Weronka spojrzała na śpiące zwierzęta. Koń przy żłobie zastrzygł uszami i otworzył oczy. Niespokojnie rozejrzał się wokoło i cicho zarżał.

- Cicho, Kasztan, cicho - powiedziała Weronka, kiedy podeszła do ogiera. - Śpij spokojnie, to tylko ja.

Koń jednak dalej stał niespokojnie, strzygąc uszami. Weronka nagle poczuła ból brzucha. Był tak przejmujący, że aż zgięła się wpół, objęła rękoma w pasie i syknęła.

-A mama zawsze mówiła, żeby śliwek nie popijać świeżym mlekiem - westchnęła i pomyślała o dzisiejszym wieczorze. Razem z o rok od siebie młodszą Łodzią zjadły chyba po wiaderku dorodnych węgierek. Oczywiście jadły je, siedząc za drzewem pomiędzy krzakami malin, żeby przypadkiem właściciel owych śliwek nie zobaczył, że ktoś mu je podkrada. A potem poszły do Łodzi. Jej mama akurat

doiła krowę i poczęstowała dziewczynki jeszcze ciepłym, pachnącym mlekiem. Obie wypiły duszkiem całą zawartość garnuszka, najpierw Weronka, potem Lodzia. Oczywiście nie przyznały się, że jadły śliwki, tym bardziej że po upalnym dniu pić się chciało... „Ciekawe, czy Lodzię też boli” - pomyślała dziewczyna, masując się po brzuchu. Niestety masaż nie pomógł i Weronka, chcąc nie chcąc, musiała iść do wychodka. Na szczęście księżyc cały czas świecił i bez problemu dotarła do drewnianej wygodki po drugiej stronie podwórka. Kiedy wracała, zdawało jej się, że coś słyszy. Ich zagroda znajdowała się na skraju lasu i Weronka sądziła, że to właśnie od strony drzew dochodziły czyjeś głosy, trzask gałęzi. Nagle wszystko ucichło. „Wydawało mi się” - pomyślała Weronka i poszła do obórki. Krasula leżała na boku, ciężko oddychała. Kasztan stapał z nogi na nogę, rżał i rzucał łbem w tę i we w tę.

-Kasztan, cicho, bo wszystkich obudzisz! - nakazała dziewczyna i podeszła do niego. - Dlaczego nie śpisz? Do rana jeszcze daleko. - Delikatnie pogłaskała konia po pysku i przytuliła do niego policzek. Czuła, jak Kasztan się uspokaja. - Już dobrze, koniku. Wiem, że ty też jesteś zdenerwowany, ale nie martw się. Krasula niedługo urodzi cielaczka i będzie dobrze - mówiła dalej do konia. Zwierzę się uspokoiło i zaczęło podjadać resztki owsa ze żłobu.

Weronka usiadła na swoim snopku słomy i pomyślała o tym, jak bardzo chciałyby znów móc pójść do szkoły. Bardzo lubiła panią Lenę. Lubiała się uczyć, ale najbardziej lubiła czytać. Pani Lena zauważyła, że jej uczennica lubi książki i zaczęła jej przynosić z domu ulubione pozycje.

Weronka podczas tych wakacji przeczytała *Dobrą panią i Bańkę mydlaną*. Ale najbardziej podobało jej się *Nad Niemnem*. „Jaka romantyczna miłość” - myślała, gdy czytała kolejne karty starej książki. „Chciałabym się tak zakochać, na całe życie, na wieczność... Gdybym znalazła taką miłość, nie odrzuciłabym jej, kochałabym przeciw wszystkim i przeciw wszystkiemu. Przecież nie można zabijać miłości z byle powodu...” Aż zarumieniła się od tych myśli.

Siedziała tak jeszcze chwilę, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo. Cisza, jaka panowała wokół, działała usypiająco i Weronka zaczęła ziewać. Spojrzała na Krasulę, która spała. Oddychała spokojnie. Tylko Kasztan wciąż niespokojnie kręcił się przy żłobie. Weronka nagle syknęła - znów poczuła ból.

- Nigdy więcej nie zjem śliwek - powiedziała cicho, masując się po brzuchu. Niestety, tym razem masaż też nie pomógł. Wyszła z obórki, spojrzała za siebie i zobaczyła otwarte ogromne oczy Krasuli. - Zaraz wracam, nie bój się - szepnęła i poszła do wychodka. Już miała wychodzić, kiedy usłyszała hałas. Spłoszyła się, bo nieraz słuchała opowieści o duchach, które pojawiają się w nocy i straszą nie tylko dzieci, lecz także dorosłych. Zawsze z wielkim zainteresowaniem słuchała takich historii. Znała nawet kilka osób, które widziały duchy albo którym przytrafiły się niesamowite zdarzenia. Na przykład Maślakowa opowiadała, że kiedy była małą dziewczynką, tuż po ostatniej wojnie szła sama przez las. Nagle usłyszała, że ktoś wzywa pomocy. Wystraszyła się, wróciła do domu i razem z ojcem wróciła w to miejsce. Nikogo nie znaleźli, ale od tego czasu inni, gdy przechodzili tą drogą, też słyszeli

wołanie o pomoc. W końcu mężczyźni ze wsi się zebrali i postanowili rozwiązać tę zagadkę. Znaleźli dół, w którym pod stertą grubych konarów i gałęzi leżały ludzkie kości. Proboszcz odprawił mszę i pochował szczątki na cmentarzu. Od tej pory w lesie nikt nie słyszał wołania.

Weronka przypomniała sobie też, jak ciotka Beata opowiadała jej, że kiedyś nad rzeką widziała dziewczynę. Była zima, mróz, a dziewczyna stała nad brzegiem i ciotka miała wrażenie, że ta chce wskoczyć do wody. Pobieгла w jej stronę, ale przewróciła się w zaspie. Kiedy wstała, dziewczyny już nie było. Ciotka myślała, że dziewczyna zdążyła wskoczyć, ale kiedy podeszła, zauważyła, że na śniegu nie ma śladów. Tak jakby w ogóle tam nikogo nie było. Kiedy Weronka nasłuchiwała się tych historii, nie mogła zasnąć ze strachu. Teraz też wyobrażnia podsuwała jej różne obrazy. Postanowiła nie wychodzić, poczekać, aż hałas ustanie i nocne mary pójda straszyc kogoś innego.

Niestety, hałas nie ustępował i wydawało jej się, że narasta. Usłyszała głosy, które stawały się coraz bliższe i wyraźniejsze, a chwilę potem samochody.

- Boże, nie! - krzyknęła, kiedy nagle wszystkie elementy układanki zaczęły do siebie pasować. - Tylko nie to! Mamo, tato! - krzyczała bezgłośnie, patrząc na wbiegających na podwórko żołnierzy i wjeżdżający samochód. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Żołnierze podbiegli pod dom, zaryglowali drzwi. To samo zrobili z obórką. Weronka z niedowierzaniem patrzyła, jak podpalają słomianą strzechę i ogień zaczyna trawić to, co było całym jej życiem. Chciała biec do drzwi domu, otworzyć je i uratować swoją

rodzinę. Stała jednak jak skamieniała, nie mogła się ruszyć. Zobaczyła, jak ktoś wybija szybę w oknie, usłyszała krzyk matki i Jasinka. Jeden z żołnierzy był jednak szybszy - oddał serię z karabinu i w domu zrobiło się cicho. Weronka stała jak sparaliżowana, z jej szeroko otwartych oczu spływały wielkie łzy. Otworzyła buzię, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Patrzyła, jak strzecha się zawala i wpada do środka domu. Przeróżliwy ryk zwierząt w obórcie wyrwał ją z odrętwienia. Zaczęła szlochać, rękoma mocno zasłoniwszy sobie buzię. Jednak ryk zwierząt był tak przeraźliwy, że nie była w stanie dłużej go znieść. Zasłoniła uszy, a usta zagryzła tak mocno, że poczuła smak krwi. Skuliła się w rogu wychodka i kiwała się w tył i w przód.

„Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje... Ojcze nasz, któryś jest w niebie...” - powtarzała w myślach modlitwę. Dalej się kiwała, a przy tym zasłaniała uszy pięściami, zagryzała wargi i zaciskała powieki. Po chwili, która wydawała jej się wiecznością, otworzyła oczy. Przez szparę w deskach zobaczyła ogień, który wił się niczym złoty wąż. Jego języki oplatały sterczące w różne strony deski.

Było już cicho. Na podwórku stali żołnierze, palili papierosy, mówili coś do siebie i ze śmiechem klepali się po ramionach. Nagle jeden z nich odwrócił się, rozejrzał i ruszył w kierunku wychodka.

„Boże, spraw, żeby szybko mnie zabił, nie chcę spalić się żywcem” - pomyślała dziewczyna na widok zbliżającego się mężczyzny. Znow zamknęła oczy i w myślach zaczęła się modlić. Żołnierz jednak nie otworzył drewnianych drzwi. Stanął przy płocie, rozpiął rozporek i pogwizdując,

załatwił swoją potrzebę. Weronka wstrzymała oddech. Czas dłużył się niemiłosiernie, brakowało jej powietrza, ale nie poddawała się. Wiedziała, że to jej jedyna szansa. „Wolę sama się udusić, niż dać się złapać żywą” - myślała, kurczowo zaciskając usta. Kiedy w końcu żołnierz odszedł, łapczywie złapała powietrze i odetchnęła głęboko. Mężczyźni powoli wychodzili z podwórka. W końcu usłyszała odgłos odjeżdżających samochodów i oddalających się kroków. Jednak nie wyszła z ukrycia. Siedziała tam jeszcze długo. Obawiała się, że kiedy otworzy drewniane drzwi, będzie musiała wejść do nowego świata, nowego życia. Nie chciała. Jeszcze nie teraz. Podkurczyła nogi, objęła je rękoma i położyła głowę na kolanach. „Śpij, dziecińko moja miła” - nuciła kołysankę, którą śpiewała jej mama. Z oczu znów popłynęły jej łzy.

Wreszcie ostrożnie otworzyła drzwi i na chwiejnych nogach wyszła z wychodka. Podeszła pod dom, a właściwie stertę czarnych, spalonych resztek domu. Nie odważyła się podejść bliżej. Nagle usłyszała śmiech Jasinka. Pośpiesznie rozejrzała się wokół, ale nikogo nie zobaczyła. Zaczęła płakać, a właściwie wyc z bezradności i żalu. Zewsząd unosił się zapach dymu i czegoś jeszcze. Nie wiedziała, co to, ale śmierdziało niemiłosiernie. Spojrzała w stronę stojącej kilka godzin temu przy domu obórki. Kątem oka spostrzegła zwęglone ciało Krasuli, która leżała tak, jak zapamiętała Weronka. Coś było jednak nie tak. Dziewczyna przyjrzała się dokładniej - obok Krasuli leżał mały zwęglony kształt. Weronka odwróciła się i wymiotowała. Po chwili wyczerpana upadła na ziemię i zaczęła cicho łkać. Musiała zasnąć,

bo kiedy się ocknęła, wstawał już dzień. Chwilę zastanawiała się, co się stało i dlaczego leży na ziemi. Kiedy jednak podniosła wzrok, wydarzenia nocy stanęły jej przed oczami. Rozejrzała się dookoła, nie czuła płynących po policzkach łez. Z trudem wstała i popatrzyła przed siebie. Ogrom tragedii przygniótł ją swym ciężarem. Nagle spostrzegła ruch pod krzakiem agrestu. Wolno podeszła w tamtą stronę. Wyciągnęła rękę i podniosła skulone małe zwierzątko. Pogłaskała po główce wystraszonego Łurwisa, który przylgnął do niej jak do matki. Odwróciła się do furtki i z króliczkiem na rękach wyszła na drogę. To, co zobaczyła, zmroziło jej krew w żyłach. Wszystkie domy we wsi były spalone, wszędzie czuć było pustkę i śmierć. Panowała bezgraniczna cisza. Weronka stanęła na środku drogi i spojrzała w niebo.

„Boże, dlaczego?!“ - chciała krzyknąć, ale z jej gardła wydobył się tylko cichy skowyt.

ROZDZIAŁ II

Marzec, 1940

Zbliżającą się wiosnę widać było w każdym drzewie, pąku i leniwie budzącej się po zimowym śnie trawie. Słysząc było wesoły śpiew ptaków, które radośnie podskakiwały na konarach drzew i znosiły przeróżne piórka oraz gałązki do gniazdek. Bocian ze swoją żoną wrócili do gniazda na stodole, które przetrwało śnieżne zawieruchy i zimowe zadymki. Wszystko było jak co roku o tej porze - promyki bladego słońca przebijały się nieśmiało i oplatały spragnione ciepła zuczki, biedronki i mrówki uwijające się pośród wychodzącej na panowanie zieleni. Wszystko, poza jednym. Zmienili się ludzie. I chociaż z powodu trwającej już ponad pół roku wojny mało kto cieszył się z nadchodzącej wiosny, Weronka stała na progu drewnianego domu swojej nauczycielki i zachłannie wdychała każdy unoszący się w powietrzu zapach. Zamknęła oczy - poczuła ciepło rozchodzące się po ciele oraz zapach mokrej trawy i ziemi. Oddychała głęboko, mając dalej zamknięte oczy - wyobrażała sobie, że jest u siebie na podwórku, stoi na progu rodzinnego domu, za chwilę mama zawoła ją na śniadanie, tata zapali fajkę, Jasinek będzie się śmiał, próbując złapać obłoczki dymu. Poczowała zapach tak dobrze znanego jej tytoniu. Wciągnęła

powietrze, poczuła go jeszcze mocniej. Otworzyła oczy - zapach ulotnił się tak szybko, jak się pojawił. Rozejrzała się nieprzytomnie - od ponad pół roku tu były jej dom, jej podwórko i jej rodzina.

Przypomniała sobie tamten wrześnieowy poranek. Szła z Łurwisem przed siebie, nie zważając, dokąd i jak długo idzie. Zostawiła za sobą swoją wioskę - doszczętnie spaloną przez niemieckich żołnierzy. Nie wiedziała, w jaki sposób dotarła pod dom nauczycielki - pani Leny, która przygarnęła Weronkę pod swój dach, i to mimo sprzeciwów swego męża. Dopiero po pewnym czasie dziewczyna dowiedziała się, że z jedenastu rodzin pożar przetrwała ona jedna. Zginęli wszyscy bez wyjątku - starcy, dorośli i dzieci. Domy zostały spalone. Zginęła też większość zwierząt

- tylko niektórym psom, kotom i domowemu ptactwu udało się uciec przed okrutnym losem. Tak jak jej Łurwisowi

- teraz króliczek mieszkał w niewielkiej oborze państwa Błaszczyczych.

Weronka pomagała w obejściu - doglądała kurnika, czasem doiła krowę i krzątała się w kuchni. We wsi zrobiło się spokojnie i przypadkowemu obserwatorowi wydawać się mogło, że wojna to tylko odległe wspomnienie. Tak jednak nie było.

Mąż pani Leny - Władysław - był leśnikiem. Kilka lat temu, gdy uciekał przed rozwścieczoną lochą, złamał nogę tak niefortunnie, że chociaż minęło już dużo czasu, ciągle kuśtykał. Wszyscy we wsi wiedzieli, że często pod jego dom podjeżdżają niemieckie samochody, do których mężczyźni pakują upolowane dziki, sarny, czasem zające. Władysław

miął na to ciche przyzwolenie - ludzie wiedzieli, że robi to, aby zapewnić spokój i bezpieczeństwo całej wsi.

-Weronka, odcedź kartofle! - Dziewczyna usłyszała z domu panią Lenę. Weszła do środka. Zobaczyła nauczycielkę, która wlewała zsiadłe mleko do pięciu garnuszków.

- A gdzie Agnieszka? - Kobieta spojrzała na Weronkę, a ta wzruszyła ramionami. - Gdzie ona się znowu włóczy?! Skaranie boskie z tą dziewczyną! No dobrze, nałóż kartofle na talerze, ja zawołam Władysława i Bronka. -Z uśmiechem pogłaskała dziewczynę po policzku i wyszła na dwór.

Weronka rozstawiła talerze na ogromnym drewnianym stole. Ziemniaki z zsiadłym mlekiem to był teraz posiłek, którego mógł jej pozazdrościć niejeden człowiek. Władysław - czterdziestokilkuletni szpakowaty mężczyzna, usiadł do posiłku. Za nim przybiegł Bronek - siedmioletni syn nauczycielki i leśnika.

- Gdzie Agnieszka? - spytał mężczyzna. - Nie powinna sama wychodzić z podwórka.

- Pewnie znowu siedzi nad strumykiem, zaraz przyjdzie

- stwierdziła cicho pani Lena.

- Siadaj - powiedział Władysław do Weronki.

Dziewczyna przysiadła na końcu ławki i przysunęła sobie talerz z ziemniakami. Władysław patrzył na nią, jedząc swoją porcję.

- Smakuje ci? - spytał. Dziewczyna kiwnęła głową.

-Nie kiwaj głową, tylko odpowiadaj, jak do ciebie mówię! - krzyknął i trzasnął pięścią w stół.

Weronka spuściła głowę i przygryzła wargi. „Znowu się zaczyna” - pomyślała ze strachem.

- Daj jej spokój, to nie jej wina, że straciła głos. Przeżyła piekło. Daj jej więcej czasu, rany muszą się zabiżnić. Jak przyjdzie pora, znów będzie mówiła.

- Już chyba najwyższy czas, żeby przestała udawać. Niech zacznie mówić albo ją wywalę na zbity pysk! Jak Niemcy się zorientują, że trzymam niemowę w domu, będzie nieszczęście! Ja ci to mówię od dawna, ale ty nie słuchasz! Poślesz przez nią na śmierć swoją rodzinę!

Nauczycielka słuchała krzyków męża ze spuszczoną głową. Wiedziała, że jakakolwiek dyskusja z nim na ten temat nie ma sensu.

Na szczęście do domu weszła uśmiechnięta Agnieszka. Córka Błaszczyczych była dwa lata starsza od Weronki. Wysoka, szczupła, z ułożonymi fantazyjnie ciemnymi włosami i śliczną buzią wyglądała jak zjawisko w progu tego domu. Spod jej lnianej bluzki widać było ładnie zaokrąglone piersi, a pasek przy spódnicy uwydatniał szczupłą talię. Agnieszka zdawała sobie sprawę z tego, że jest bardzo ładna. A że przy tym zawsze była wesoła, umiała znaleźć dobre słowo dla każdego, to na sam widok tej młodej trzpiotki wszystkim wokół robiło się przyjemniej i weselej. Miała artystyczną duszę - pięknie grała na skrzypcach, lubiła rysować, pisała nawet wiersze. Żyła dniem dzisiejszym. Nie martwiła się, co będzie jutro. Na szczęście miała rodziców, którzy martwili się za nią.

- Gdzie byłaś?! - krzyknął Władysław.

Nad strumykiem. Tatko, wiesz, jak tam jest pięknie! - rozmarzyła się. - Na wierzbach widziałam już kotki, zobacz, przyniosłam ci gałązkę. - Ze śmiechem podarowała jedną gałązkę ojcu, drugą matce, cmoknęła ich w policzek i usiadła do stołu.

- Dobrze, już dobrze. Jedz już w końcu - powiedział Władysław, który nie potrafił się długo złościć na córkę. Była jego oczkiem w głowie i właściwie wszystkie małe grzeszki szybko jej wybaczał. Agnieszka świetnie zdawała sobie z tego sprawę i często to wykorzystywała.

Atmosfera się rozluźniła, a Weronka odetchnęła z ulgą. Dokończyła jeść obiad, rozmyślając o tym, jak długo jeszcze będzie mogła mieszkać w domu ukochanej nauczycielki. Po posiłku zaszyła się w obórcę. Wzięła na ręce Łurwisa, przytuliła policzek do jego miękkiej sierści i cicho zapłakała.

ROZDZIAŁ III

Październik, 1940

Na dworze lało. Wiatr groźnie targał drzewami, słychać było głośny szum gałęzi i trzask łamiących się konarów. Granatowo-szare niebo nie wróżyło niczego dobrego. W domu panował półmrok, jedyna paląca się świeca stała na stoliku, przy którym siedziała pani Lena i haftowała wzór na niewielkim obrusie. Władysław leżał na łóżku zmęczony po nieudanym polowaniu. Upolował dzisiaj tylko dwa zające. Niemcy nie będą zachwyceni. Ale nie tylko Władysław polował. Panowała bieda, ludzie nie mieli co jeść i wszyscy ze wsi chodzili do lasu polować, żeby nie umrzeć z głodu. Również partyzanci karmili się tym, co podarował im las. Rzadko przychodzili do wsi, nie chcąc narażać bliskich na niebezpieczeństwo. Tak więc zwierząt ubywało w zastraszającym tempie.

Kilka dni temu umarł Łurwis - ukochany króliczek Weronki, jedyny jej łącznik z poprzednim życiem. Jak zwykle rano weszła do obórki nakarmić zwierzęta. Łurwis leżał z rozrzuconymi łapkami i się nie ruszał. Weronka długo płakała, a oczy piekły ją od łez. Razem z Agnieszką i panią Leną pochowały zwierzątko przy płocie pod lasem. Wieczorem Weronka nie mogła zasnąć. Słyszała, jak pan Władysław kłóci się z żoną, wypominając jej niegospodarność.

- Mówiłem, trzeba było już dawno zjeść tego królika! A teraz zdechł, i co? Padliny jadł nie będę! - krzyczał. -Zmarnowane tyle mięsa. Najmniej trzy obiady!

- To był jej przyjaciel. Przyjaciół się nie je.

- Przyjaciel, przyjaciel! My tu z głodu zdechniemy jak ten królik, a ty jej jeszcze bronisz!

-Władysław, daj spokój. Weronka stara się jak może, pomaga nam we wszystkim. Daj jej w końcu spokój.

- Wiem, wiem. Może masz rację - westchnął pan Władysław.

- Ale mięsa szkoda.

Weronka aż wzdrygnęła się na myśl o usłyszanej rozmowie i z ulgą pomyślała, że jej króliczek leży spokojnie zakopany w ziemi. „Wolałabym nic nie jeść przez trzy dni, niż zjeść mojego kochanego Łurwiska” - pomyślała.

Bronek bawił się z kotem - ciągnął po podłodze kamyk przywiązany do kawałka czerwonej wełny. Agnieszka grała na skrzypcach, a Weronka siedziała z zamkniętymi oczami i słuchała pięknej melodii.

Bardzo tęskniła za rodzicami i bratem. Często wyobrażała sobie, że to, co się dzieje, jest tylko złym snem, z którego niedługo się wybudzi. Rano, tuż po przebudzeniu, mocno zaciskała powieki, liczyła do dziesięciu i unosiła je z nadzieją, że wszystko będzie jak dawniej. Zobaczy mamę, która cicho podśpiewuje, krzątając się przy piecu, tata z fajką w ustach będzie naprawiał wiklinowy kosz, a mały Jasinek - spał spokojnie w drewnianej kołysce. Niestety, kiedy otwierała oczy, nic nie było tak jak dawniej.

Wojna trwała już ponad rok i nic nie wskazywało na to, żeby miała się szybko zakończyć. Nawet tu, w małej wiosce prawie na końcu świata, coraz częściej słyhać było przelatujące bombowce, coraz więcej mężczyzn szło walczyć do lasu. W jednym z oddziałów walczył Franek. Weronka czasem się z nim spotykała, kiedy zanosila marynowane mięso i chleb partyzantom. Wiedziała, że jest to bardzo niebezpieczne, ale chociaż w ten sposób mogła pomóc. Pani Lena szykowała wałówkę raz w tygodniu, a ona razem z Agnieszką szły w umówione miejsce. Czasem były to tylko jabłka z przydomowego sadu, czasem jajka czy bańka mleka. Władysław wiedział o tym procederze, ale się nie wtrącał. Nie miał nic przeciwko temu, zawsze jednak z niepokojem czekał na powrót dziewcząt, a właściwie Agnieszki. Oddychał z ulgą, kiedy wracały.

- Chcesz spróbować? - spytała Agnieszka, patrząc na Weronkę i wskazując skrzypce.

Weronka przecząco pokręciła głową. Nie miała odwagi wziąć do ręki skrzypiec, chociaż to było jej ogromne marzenie. Pragnęła pięknie grać i nawet czasem wyobrażała sobie, że stoi w ogromnej sali, a spod jej palców wydobywają się cudowne dźwięki, których w absolutnej ciszy słuchają zgromadzeni ludzie. Nigdy jednak nie śmiała dotknąć instrumentu Agnieszki, a co dopiero na nim grać.

- Chodź, spróbujesz! - zachęcała Agnieszka. - Nie bój się, wszystko ci pokażę. - Ze śmiechem podbiegła do Weronki, pociągnęła ją za rękę i zaprowadziła przed stojak z nutami. - Będę twoją nauczycielką, chcesz? - roześmiała się i wręczyła dziewczynie instrument.

Weronka chwilę stała zaskoczona. Pani Lena patrzyła na tę scenę ze wzruszeniem i kiedy Weronka spojrzała na nią, zachęcająco skinęła głową.

- To wcale nie jest takie trudne - mówiła dalej Agnieszka. - Musisz tutaj położyć skrzypce, a smyczek trzymaj w ten sposób. - Zwinnie chwyciła palce dziewczyny i odpowiednio ustawiła.

Po kilku minutach objaśnień i instrukcji Weronka wydała na świat pierwsze w swym życiu dźwięki na instrumencie. Nie były one jednak tak cudowne, jak to sobie wyobrażała. Z niesmakiem zmrużyła oczy i spojrzała na Agnieszkę.

- Nie martw się, musisz trochę potrenować. Za pierwszym razem nikomu nie wychodzi. - Pocieszyła ją Agnieszka.

- Co to za wycie?! - Usłyszały głos Władysława. - Już nawet chwili spokoju nie ma w tym domu!

- Tato, uczę Weronkę grać na skrzypcach - powiedziała dumnie córka.

- No, tego brakowało! Daj sobie spokój, przecież ta nie-dojda i tak nigdy się nie nauczy! Szkoda twojego czasu i naszych uszu. A jeszcze ci skrzypki zepsuje!

-Tatko, proszę. Będę miała dodatkowe zajęcie i nie będę tak często chodziła nad strumyk - wyjaśniła sprytnie Agnieszka.

-Agnieszka ma rację, przynajmniej czymś się zajmie i nie będą jej głupoty przychodzić do głowy. - Pani Lena poparła pomysł córki i uśmiechnęła się do Weronki, która stała jak sparaliżowana, słuchając dyskusji na temat marzenia, które ma szansę się ziścić.

- No dobrze, niech stracę. Ale tylko wtedy, kiedy mnie nie będzie w pobliżu. Nie zniosę tego rzępolenia - powiedział pojednawczo Władysław i podniósł się z łóżka. - Idę nakarmić zwierzęta. - Włożył buty i wszedł prosto z sieni do niewielkiej obórki.

ROZDZIAŁ IV

Rok 1942

Ciepłe promienie słońca wpadały przez małe okna drewnianego domu. W tym roku koniec października był łaskawy - zapowiadał się kolejny ładny dzień. Weronka z Agnieszką wyszły do ogrodu zgrabić kolorowe liście i pozbierać resztki nadgniłych jabłek. Nic nie mogło się zmarnować, nawet owoce nadjedzone przez owady i dzikie zwierzęta były na wagę złota. Agnieszka nuciła jakąś smutną piosenkę, co chwila cicho wzdychała. Od jakiegoś czasu zachowywała się inaczej

- już nie była trzpiotką jak dawniej. Wydoroślała, spoważniała. Weronka wiedziała dlaczego. Agnieszka się zakochała. Andrzej dołączył do partyzantów latem. Wystarczyło jedno spojrzenie, jeden uśmiech i oboje zatracili się w miłości.

- Wiesz - mówiła do Weronki, patrząc w rozgwieżdżone niebo - kiedyś weźmiemy ślub, ale nie w lesie, tylko taki prawdziwy. Z białą suknią, welonem, kwiatami, muzyką i tańcami do samego rana. A potem będzie noc poślubna. - Dziewczyny zachichotały. - Zamieszkamy w małym domku. Koniecznie blisko lasu - mówiła dalej Agnieszka, podnosząc wskazujący palec. - Będziemy mieli dwoje dzieci, dziewczynkę i chłopczyka. Jeszcze nie wiem, jak będą mieli na imię, ale na pewno ładnie.

Weronka w wyobraźni widziała Agnieszkę w pięknej sukni ślubnej i Andrzeja, który ze śmiechem podnosi delikatną pannę młodą. Nad nimi złote promienie słońca przebijają błękitne chmury. Jest cicho, słychać tylko rechot żab i granie świerszczy.

Andrzej dużo opowiadał im o wojnie, o tym, co dzieje się w Warszawie, Krakowie. Dziewczyny ze łzami w oczach słuchały tych historii. Agnieszka coraz częściej wymykała się do lasu, a panu Władysławowi coraz trudniej było ją zatrzymać. Obawiał się, żeby nie dołączyła do partyzantów na stałe. Nie wiedział albo nie chciał wiedzieć, że Agnieszka chodzi na akcje. Dziewczyna nikomu o tym nie mówiła, nawet Weronce. Coraz częściej jednak wracała smutna i myślami nieobecna.

Weronka gestami dawała do zrozumienia, że chce do niej dołączyć, ale Agnieszka zawsze wymyślała argumenty, żeby ją zniechęcić.

- To niebezpieczne. Ty musisz zostać tutaj, rozglądać się i mieć na wszystko oko. Wiem, że możemy na ciebie liczyć. Patrz i słuchaj uważnie.

Tak więc Weronka słuchała i patrzyła. Widywała z ukrycia Niemców, którzy coraz rzadziej przyjeżdżali do Władysława. Chyba znaleźli sobie zaopatrzeniowca gdzieś bliżej miasteczka. Mężczyzna z jednej strony się cieszył, że nie musi karmić okupantów, z drugiej - obawiał się, że kiedy już nie będzie im potrzebny, straci poczucie bezpieczeństwa swoje i rodziny. Do tej pory Niemcy nie wykazywali większego zainteresowania ani życiem ich, ani innych mieszkańców małej wioski. Na razie wystarczało im, że ludzie czuli po prostu strach.

i markotny. Po skromnej wigilijnej wieczerzy udali się do kościoła. Mimo że była noc, śnieg rozjaśniał drogę i w pół godziny dotarli na miejsce. W drewnianym kościółku czuć było atmosferę świąt. Przyszli prawie wszyscy mieszkańcy

pobliskich wiosek należących do parafii. Kolorowo przyozdobiona choinka, kolędy i piękne kazanie księdza Lucjana rozpały iskiarkę nadziei w sercach Weronki i innych zgromadzonych.

- „Nie lękaj się, bo ja jestem z tobą!” - grzmiał z ambony wiekowy proboszcz. - „Nie trwóż się, bom ja twoim Bogiem. Umacniam cię, jeszcze i wspomagam, podtrzymuję cię moją prawicą sprawiedliwą. Oto wstydem i hańbą się okryją wszyscy rozjatrzeni na ciebie. Unicestwieni będą i zginą ludzie kłóćący się z tobą. [...] Nie lękaj się, przychodzę ci z pomocą”¹.

To było ostatnie kazanie księdza Lucjana. Następnego dnia rano Gestapo zabrało go z plebanii i już nigdy nie wrócił do swoich wiernych.

W Nowy Rok na dworze panował niemiłosierny mróz. Weronka grzała się przy kaflowym piecu i po raz kolejny czytała *Opowieść wigilijną*. Co chwila przerywała i tęskno wyglądała przez niewielkie okno. Coraz częściej myślała o Franku. Nadal nosiła jedzenie partyzantom. Było tego niewiele, ale dla nich liczyła się każda kromka chleba. Najczęściej na spotkania wysyłali właśnie Franka. Było to bardzo niebezpieczne, zarówno dla niej, jak i dla chłopaka, ale Weronka się nie bała. Chciała chociaż w ten sposób pomóc, a poza tym zawsze liczyła na spotkanie z Frankiem.

Mimo że chłopak był wychudzony, widać było, jak bardzo zmęźniał. Był wysoki, miał ciemne włosy i brą-

zowe oczy. Mocno zarysowana szczęka i niewielki zarost dodawały mu uroku. Od kilku tygodni Weronka wzdychała i nie mogła spać w nocy. Przed oczami miała uśmiechniętą twarz przyjaciela biegnącego w jej stronę. Wyobrażała sobie, że chłopak podchodzi do niej, bierze ją w ramiona i delikatnie całuje. Zawsze potem wybuchwała płaczem. „Przecież on nigdy nie pokocha takiej niemoty jak ja” - myślała. „Jestem brzydka, biedna sierota, w dodatku niemowa”.

Z radością patrzyła na uśmiechniętą i podekscytowaną Agnieszkę, kiedy ta wracała z lasu i w tajemnicy opowiadała o Andrzejku. Nie zazdrościła jej. Czuła do dziewczyny siostrzaną miłość i zawsze chętnie słuchała jej miłosnych zwierzeń. „Może i mnie ktoś kiedyś pokocha” - myślała, siedząc przy piecu. Nagle jej rozmyślenia przerwało poruszenie w sąsiedniej izbie. Władysław wybiegł, kuśtykając, złapał wiszący na haczyku kozuch i pobiegł na dwór. Pani Lena szybko weszła do kuchni i z wiadra nabrała wody do niewielkiej glinianej miski. Weronka spojrzała na nią pytającym wzrokiem.

- Broniek ma gorączkę! Chyba ze czterdzieści stopni! Pomóż mi! - krzyknęła z przerażeniem w oczach.

Weronka rzuciła książkę na stół i pobiegła za panią Leną.

Broniek zmarł pierwszego stycznia czterdziestego trzeciego roku. Lekarz, po którego pojechał pan Władysław, nie pomógł. Kiedy po kilku godzinach przyjechali, chłopiec już nie żył. Zapalenie płuc - brzmiała diagnoza lekarza. Ojciec uklęknął, wzięwszy w ramiona zmarłego

syna i zaczął go kołysać z obłędem w oczach. Pani Lena głośno płakała, a Weronka nie mogła uwierzyć w to, co się stało.

„To niemożliwe, Boże, proszę cię, to nie może być prawda!” - krzyczała w duchu i raz po raz wycierała rękawem spływające po policzkach łzy. Władysław położył delikatnie syna na łóżku i wybiegł z domu. Po chwili wszyscy usłyszeli przeraźliwy krzyk, jakby wycie zranionego dzikiego zwierzęcia. Echo rozniosło ten krzyk, pełen rozpacz, po okolicy. Zbolały ojciec upadł na śnieg i zaciskając pięści, krzyczał dopóty, dopóki nie zabrakło mu sił.

Kiedy po kilku godzinach wróciła Agnieszka, nic nie było już takie samo, jak jeszcze rano.

ROZDZIAŁ V

Rok 1944

Z frontu wschodniego napływały coraz to lepsze wiadomości. Niemcy ponosili porażkę za porażką i wyglądało na to, że wojna wkrótce się skończy. Wszyscy czekali na to z utęsknieniem. Niestety mimo zwycięstw również na froncie zachodnim walki trwały i były coraz bardziej zacięte.

Weronka dużo czasu spędzała teraz w lesie. Pewnego dnia Agnieszka zabrała ją ze sobą i tak już zostało. Dziewczyna opatrywała rany partyzantom, prała, robiła kawę zbożową, gotowała ziemniaki albo zupę cebulową. Mimo trudnych chwil cieszyła się, że może wyjść z leśniczówki, gdzie od śmierci Bronka wszystko się zmieniło. Pani Lena długo opłakiwała syna. Od pana Władysława coraz częściej czuć było samogon, nawet już w południe. W domu zrobiło się cicho bez radosnego śmiechu Bronka, jego figli i ciągłego dopytywania o wszystko wokół. W każdym zakamarku czuć było pustkę, smutek i żal. Małżeństwo Błaszczyczych oddalało się od siebie, pani Lena bez słowa patrzyła na pijanego męża, który często zasypiał w komórcie lub obórcie. Szła wtedy do kuchni, siadała przy oknie na bujanym fotelu i wpatrywała się w przestrzeń. Weronka

wówczas często siadała przy niej i głaskała ją po głowie lub rękę. Na niewiele jednak to się zdało, pani Lena trwała w takim stanie czasem nawet kilka godzin. Nie pomagało również radosne usposobienie Agnieszki i jej zabawne opowieści, które wymyślała, aby choć na krótko odciągnąć rodziców od złych myśli.

Dni mijały, wszyscy właściwie już przyzwyczaili się do sytuacji w leśniczówce. Franek i Andrzej czasami przychodzili pod dom dziewczyn. W partyzantce mieli pseudonimy, którymi posługiwali się podczas konspiracji. Weronka też miała pseudonim - Motylek. Bardzo lubiła kwiaty, jej ulubionymi były stokrotki, toteż kiedy to tylko było możliwe, Franek przynosił jej bukietki nazbieranych po drodze stokrotek.

Rozmowy o błahostkach pozwalały na chwilę oderwać się od spraw wojny, okupacji i partyzantki. Pewnego dnia cała czwórka spotkała się na podwórku przed leśniczówką. Słońce mocno przygrzewało i chłopcy schowali się w cieniu wielkiej lipy przy płocie. Dziewczyny siedziały na ławeczce i wystawiały swe młode buzie do złotych promieni. Panowała radosna atmosfera i wszyscy na moment zapomnieli

o otaczającym świecie i wojnie. Chłopcy wygłupiali się

i okładali przyjaznymi kuksańcami, a dziewczyny z uśmiechem patrzyły na te przepychanki.

- Weronka, dzisiaj w nocy idziemy na akcję - powiedziała nagle cicho Agnieszka. - Mam złe przeczucia. Coś się wydarzy. Jeśli nie wrócę, musisz zaopiekować się moimi rodzicami. Jesteś dla nich jak córka.

Weronka spojrzała na nią wystraszonymi oczami.

- No nie patrz tak! - Agnieszka się zaśmiała. - Wiem, wiem, tatko zawsze mówi, że cię nie lubi, ale przekona się do ciebie, zobaczysz. - W jej oczach zaszklily się łzy.

Andrzej i Franek przestali się wygłupiać i spojrzeli na dziewczyny. Nagle znów zrobiło się cicho, beztroska chwila pry snęła bezpowrotnie.

Weronka zaczęła szarpać Agnieszkę za ramię i spoglądać błagalnym wzrokiem na chłopaków. Andrzej przecząco pokręcił głową, nie patrząc w oczy Weronce.

- Ty nie możesz iść, musisz zostać. Jak Bóg da, wrócę cała i zdrowa. - Agnieszka pocałowała Weronkę w czoło i poszła w stronę domu. Andrzej pobiegł za nią.

Franek przysunął się do Weronki, objął mocno i pocałował. Dziewczyna zamknęła oczy i spuściła głowę. Chciała zasnąć i obudzić się w innej rzeczywistości. Oczami wyobraźni zobaczyła siebie - ze śmiechem biegnącą w kwiecistej sukience wprost w ramiona Franka - uśmiechniętego, szczęśliwego, wolnego.

Następnego ranka obudził ją hałas dobiegający z podwórka. Szybko wstała z łóżka i podbiegła do okna. Zobaczyła podjeżdżające samochody i niemieckich żołnierzy, którzy wyskoczyli z pojazdów i ruszyli w stronę domu. Pan Władysław akurat rąbał drwa na opał, ale kiedy zauważył Niemców, również pobiegł w tamtą stronę. Dwóch żołnierzy było już w domu, reszta stała na podwórku z przygotowanymi do strzału karabinami. Pani Lena upuściła garnuszek, w którym zaparzyła zeszłoroczny rumianek. Zaszuszo-

ne, mokre płatki zioła i jeszcze parująca woda pokryły część drewnianej podłogi.

- Szukamy Agnieszki Błaszczyckiej - szorstkim głosem powiedział kapitan. - Jest w domu?

Kapitan Joachim Richter miał trzydzieści cztery lata i z wielką pasją oddawał się sprawom wojny. Wierzył w swojego przywódcę, starał się ze wszystkich sił być dobrym żołnierzem i dobrym Niemcem. Prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, szczupła budowa ciała, jasne włosy zaczesane do tyłu i niebieskie oczy były wyznacznikiem Niemca - mężczyzny. W niewielkiej wsi daleko od Berlina zostawił żonę z trójką dzieci. Dwie córki i najmłodszy syn codziennie wieczorem modlili się o swojego ojca i czekali na jego powrót. Richter miał jednak jeszcze wiele do zrobienia, zanim wróci do rodziny w świetle chwały. Tymczasem nie myślał często o rodzinnym domu. O ile jeszcze czasami wspominał dziewczynki, które były jego dumą, i siedmioletniego Hansa, który miał zostać jego następcą i kontynuatorem dzieła, o tyle żony nie wspominał praktycznie w ogóle. Była daleko, a tutaj miał tyle kobiet na wyciągnięcie ręki. Żadna nie oparła się jego urokowi. Wręcz przeciwnie - miał wrażenie, że czasami to on musi odmawiać zmęczony borykaniem się z codziennymi sprawami oraz nieustającymi problemami z polskimi bandytami i ich oporem.

Pani Lena stała bez ruchu, lekko przytrzymując się stołu.

- Córka śpi - odpowiedział głośno Władysław, który próbował nie pokazywać tego, jak bardzo się boi.

- Śpi? - zapytał kapitan zdziwionym głosem. Chodził po kuchni i rozglądał się. - To ją obudźcie. - Odwrócił się do

pani Leny, usiadł na krześle, ściągnął skórzane rękawiczki i rzucił je na stół.

Małżeństwo stało bez słowa, ze spuszczonej głowami.

- No, obudźcie ją! Na co czekacie?! - Spojrzał na swojego towarzysza i zaczął się śmiać. - Ja wam powiem, na co czekacie. Na cud. Bo dobrze wiecie, i ja wiem, że wasza córka nie śpi. Nie ma jej tu! W takim razie, gdzie jest? - Spojrzał na panią Lenę pytającym wzrokiem. Nie odpowiedziała. Skuliła się jeszcze bardziej i czekała na moment, kiedy żołnierz wymierzy sprawiedliwość.

- Gdzie jest wasza córka i ten jej kochanek?! - krzyknął kapitan. Wyciągnął pistolet i mierzył do kobiety. - Wiemy, że Agnieszka Błaszczicka jest w zмовie z partyzantami. Jeśli powiecie, gdzie oni są, postaram się, żeby córce nic się nie stało. - Zmienił nagle ton i próbował zjednać sobie Błaszczyckich.

W tym momencie otworzyły się drzwi pokoju. Wszyscy ze zdziwieniem zwrócili głowy w tamtym kierunku. Najbardziej zaskoczeni byli Niemcy, którzy nie spodziewali się nikogo więcej w leśniczówce. W drzwiach zobaczyli dziewczynę - śliczną szatynkę z długim warkoczem i przydługawą grzywką niesfornie opadającą jej na oczy. Dziewczyna była w długiej koszuli nocnej, spod której widać było jedynie białe stopy. Zagryzając usta, patrzyła intensywnie na panią Lenę. Miała nadzieję, że ta będzie wiedziała, co robić. Przez chwilę panowało milczenie. Niemcy nie mogli oderwać wzroku od zjawiskowej piękności. Pan Władysław nie potrafił opanować złości. „To

już koniec" - pomyślał. „Jakby było mało kłopotów. Po co ta niemota pokazuje się Niemcom?”.

Tylko pani Lena zachowała zimną krew, wyciągnęła rękę w kierunku Weronki i cicho powiedziała:

-Agnieszko, chodź tutaj.

Dziewczyna ucieszyła się, że pani Lena zrozumiała, o co jej chodziło, i podeszła, nie patrząc na Niemców. Pan Władysław starał się nie pokazywać zdziwienia i przez chwilę pomyślał, że to może się udać.

Niemcy też byli zdziwieni. Kapitan szybko wstał z krzesła i podszedł do Weronki. Stał blisko niej i zaczął się jej bacznie przyglądać. Weronka zamknęła oczy, czuła jego oddech na szyi, policzkach, ustach. Próbowwała się nie wykrzywić z obrzydzenia, zacisnęła pięści i stała nieruchomo.

-A więc ty jesteś Agnieszka Błaszczycza?

Skinęła głową, nie otwierając oczu.

- Moi koledzy mieli rację, mówiąc, że jesteś piękną dziewczyną. - Dotknął jej warkocza i westchnął. Zaczął bawić się jej włosami, w pewnym momencie wziął koniec warkocza i przyłożył do nosa, mocno wdychając zapach. Wolno otworzył oczy i chyba ocknął się z chwilowego zamroczenia, bo krzyknął: - Ty polska suko! - I uderzył ją w twarz.

Weronka upadła na ziemię i zaczęła płakać. Pani Lena uklękła przy niej i mocno objęła.

- Masz coś wspólnego z Andrzejem Pigoniem? Wiesz, gdzie on jest? - pytał Niemiec, nachylając się nad dziewczyną.

Weronka przecząco kręciła głową, dalej szlochając.

- Tym razem ci się udało, ale pamiętaj - my wiemy, kim jesteś. Wcześniej czy później znajdziemy was w tym lesie i powybijamy jak psy! Nie zlikwidujemy cię dzisiaj, bo ty nas tam zaprowadzisz - powiedział cicho i puścił do niej oko. Weronka patrzyła ze strachem na wykrzywioną twarz oprawcy. - Nawet nie będziesz wiedziała, że nam pomagasz - zaśmiał się i ruszył w kierunku wyjścia.

Zanim wyszedł, jego wzrok napotkał skrzypce. Staął, wziął je do rąk i pogładził.

- Słyszałem, że pięknie grasz - zwrócił się do dziewczyny. - Zagraj coś dla mnie, coś wesołego. - Podał dziewczynie instrument i znów usiadł przy stole.

Weronka nieprzytomnie patrzyła na panią Lenę i pana Władysława, którzy stali teraz obok siebie, obejmując się mocno. Mężczyzna zmrużył oczy i przygryzł wargi, kobieta kiwnęła głową w geście zachęcenia. Dziewczyna delikatnie ujęła instrument i zaczęła grać. Trzęsły jej się ręce i niektóre dźwięki nie były doskonałe. Po chwili jednak odzyskała pewność siebie. Postanowiła, że zagra najpiękniej, jak tylko potrafi. Spod jej palców wydobywała się piękna melodia, która, najpierw cicha i stonowana, przerodziła się w głośną i wesołą. Zanim skończyła, kapitan wstał i bez słowa wyszedł z domu. Weronka grała dalej dopóty, dopóki nie odjechały z podwórka wszystkie niemieckie samochody.

ROZDZIAŁ VI

Rok 1944

Deszcz zaczął kropić tuż przed południem. Jeszcze kilkadziesiąt minut temu promienie jesiennego słońca ogrzewały mocno każdy kąt podwórza. Nawet pod ogromną lipą było duszno i nic nie wskazywało na to, że pogoda tak gwałtownie się zmieni. Kiedy czarne chmury pokazały się na niebie, Weronka szła już do lasu. Była taka szczęśliwa. Kilka tygodni temu Franek wyznał jej miłość.

- Nie mogę żyć bez ciebie - szepnął, kiedy siedzieli na mchu obok rozłożystej brzozy. - Jesteś powietrzem, którym oddycham. Krwią, która płynie przez całe moje ciało. Jesteś ogniem, wodą, wolnością. Jesteś dla mnie wszystkim. Kocham cię. Kocham, kiedy obierasz cebulę, kiedy zaplatasz warkocze, kiedy pijesz wodę i kiedy uśmiechasz się do mnie. Proszę, powiedz, że ty też mnie kochasz. Inaczej moje życie się skończy.

Weronka ujęła twarz chłopaka w dłonie, popatrzyła mu głęboko w oczy i skinęła głową. Franek uśmiechnął się i pocałował delikatnie dziewczynę.

- Jak tylko skończy się wojna, weźmiemy ślub, dobrze? - Wziął Weronkę za ręce i pocałował. - To już niedługo, zobaczysz!

Tego dnia mieli się spotkać na rozstaju dróg, a potem iść razem do pobliskiej wsi po ulotki. Deszcz zaczął kropić coraz mocniej, w oddali słychać było grzmoty. Weronka nie bała się burzy, choć wiedziała, że w lesie nie wróży nic dobrego. Dobiegła do umówionego miejsca i stanęła, rozglądając się za Frankiem. Poza dochodzącymi z daleka odgłosami burzy panowała cisza. Deszcz padał miarowo, a wielkie krople spływały jej po włosach, twarzy i ubraniu. Wystawiła twarz do nieba, wyszła na środek drogi, zamknęła oczy i zaczęła kręcić się wokół. Podniosła wysoko ręce i próbowała złapać krople. Było ciepło i parno, a odgłosy piorunów dało się słyszeć coraz bliżej. Nagle usłyszała coś jeszcze. Stanęła i otworzyła oczy. Niedaleko zobaczyła niemiecki samochód, który wolno jechał w jej stronę. Rozejrzała się w panice, ale nie miała gdzie uciec. Samochód zatrzymał się przed nią i wysiadł z niego kapitan Richter. Weronka poznała go od razu, on też ją rozpoznał.

-A kogo my tu mamy? Proszę, proszę - powiedział, uśmiechając się złośliwie. - Panna Agnieszka we własnej osobie. - Obszedł dookoła dziewczynę i stanął za jej plecami. - Wiedziałem, że wcześniej czy później nam się przydasz. Czekasz na kogoś? - Znów stanął naprzeciw niej.

Weronka stała ze spuszczoną głową i modliła się w duchu, aby Franek zobaczył samochód i nie podchodził.

- Widziałem, jak skręcasz do lasu, i kazałem kierowcy cię śledzić. Mam nadzieję, że nie na próżno. Macie jakieś umówione znaki? - Spojrzał na dziewczynę. - No mów, ty głupia dziwko! Odezwij się w końcu! - Uderzył Weronkę w twarz.

Dziewczyna skuliła się i schowała twarz w dłoniach. Deszcz padał coraz mocniej, na niebie pojawiły się pierwsze błyskawice, grzmoty były coraz częstsze.

Kierowca, który do tej pory nie wtrącał się do tego, co robi kapitan, zaczął coś do niego mówić po cichu i wskazywać na dziewczynę, która mokra od łez i deszczu siedziała pod drzewem. Richter słuchał i patrzył na nią z coraz większą złością. Nagle podbiegł do niej i mocno ją kopnął.

-Ty polska dziwko! Oszukaliście mnie, ty, ten głupi leśniczy i jego głupia żona! Kim ty właściwie jesteś?! Odpowiadaj, jak pytam! - Rozwścieczony kopał leżącą już na ziemi dziewczynę.

- Ona nic nie powie, to niemowa. - Kierowca próbował odciągnąć kapitana od Weronki.

- Niemowa?! - Niemiec roześmiał się ironicznie. - Niemowa mnie oszukała... Coś takiego! - powiedział z obłędem w oczach. - Zadrwiłaś ze mnie, polska szmato! Jeszcze nikt ze mnie tak nie zadrwił! Ale ja ci pokażę, co robię z takimi małymi polskimi dziwkami!

Jeszcze raz kopnął Weronkę i odwrócił ją na plecy. Położył się na niej i szybko rozpiął rozporek w spodniach. Weronka resztkami sił starała się odepchnąć intruza, ale na nic się to nie zdało. Kiedy kapitan próbował podciągnąć jej sukienkę, otworzyła usta i jakimś nieziemskim wysiłkiem wydała z siebie okrzyk:

- Neeee! Zostaw mnie! - Głos był donośny, choć trochę nienaturalny i dziwnie brzmiący. Zaskoczony kapitan odsunął się na chwilę od Weronki i popatrzył na nią zdziwiony. W tym samym momencie oboje usłyszeli wystrzał pi-

stoletu. Zdziwione oczy kapitana Richtera pozostały takie na wieczność, a jego ciało bezwiednie upadło na ziemię. Zapłakana Weronka jak przez mgłę zobaczyła podbiegającego do niej Franka.

- Ciii... już dobrze, wszystko będzie dobrze. - Chłopak wziął dziewczynę w ramiona i delikatnie przytulił. - Nie bój się, już jestem przy tobie. On już nic ci nie zrobi.

Oboje spojrzeli na zakrwawione ciało kapitana, którego oczy wciąż wydawały się zaskoczone. Burza ustępowała, grzmoty oddalały się, a deszcz prawie już nie padał.

- Boję się - powiedziała cicho Weronka.

- Motylku, ty mówisz! - krzyknął zaskoczony Franek.

Dziewczyna roześmiała się radośnie, dopiero teraz dotarło do niej, że odzyskała mowę. To było tak niewiarygodne, że Weronka z niedowierzaniem dotknęła ręką ust.

- Boże, ja naprawdę znowu mogę mówić - powiedziała cicho, płacząc ze szczęścia. Przyzwyczajała się do brzmienia swego głosu.

- To jakiś cud! - krzyknął Franek.

Dziewczyna dalej płakała, jednak teraz były to łzy szczęścia. Nagle spojrzała na stojący obok samochód.

-A gdzie jest kierowca? - spytała, spoglądając na Franka. Chłopak rozejrzał się uważnie, jednak nikogo nie zauważył.

- Nie możesz wrócić do leśniczówki, zostaniesz ze mną. A i oni muszą uciekać jak najszybciej.

Na niebie pojawiła się wielobarwna tęcza. Pierwsza, jaką Weronka widziała od wielu lat. Nie mogła jednak długo na nią patrzeć, musieli szybko ostrzec Błaszczyczych.

-To pierwsza, ale nie ostatnia tęcza w naszym życiu, obiecuję ci to - powiedział Franek, patrząc na dziewczynę. - Możesz wstać?

-Tak - przytaknęła Weronka i syknęła z bólu, kiedy spróbowała się podnieść. Franek delikatnie ją podtrzymał.

Trzymając się za ręce, poszli w głąb lasu. Weronka kątem oka zobaczyła niedbale leżący na drodze bukiet stokrotek.

ROZDZIAŁ VII

Wrzesień, 1945

Weronka stała nad brzegiem zatoki. Jej nieokiełznane włosy szalały na wietrze, który wiał z ogromną siłą. Było zimno. Owinęła się szczelnie grubą chustą, jednak nawet ona nie dawała ciepła zmarzniętemu ciału. Dygotała z zimna, ale wydawać się mogło, że nie czuje niskiej temperatury i nie widzi wzmagającej się wokół niej wichury. Westchnęła głęboko, gdy przypomniała sobie ostatni rok, który ponownie zmienił całe jej życie. Po śmierci Richtera nie wróciła już do leśniczówki. Pani Lena i pan Władysław zostali zabrani na przesłuchanie. Na szczęście Niemcy już wtedy nie mieli dużo do powiedzenia. Porażka goniła porażkę, niemieckie wojska coraz szybciej się wycofywały, dając miejsce Sowiecom. Państwo Błaszczycy niewiarygodnym zrzędzeniem losu, a przede wszystkim dzięki znajomościom i dobrym układom pana Władysława z niemieckimi oficerami, zostali wypuszczeni z aresztu i wrócili do swojego domu. Agnieszka nie utrzymywała kontaktu z rodzicami, a to z obawy, że przyczyni się do kolejnego nieszczęścia.

Walki w lesie jednak trwały. Partyzanci teraz postrzegani byli jako wrogowie narodu polskiego. Obecnie musieli walczyć z Urzędem Bezpieczeństwa, który uważał ich za

zdrajców. Czasy były coraz trudniejsze, konspiracje coraz częściej wykrywane dzięki akcjom ubeków i ich prowokacjom.

Weronka z Frankiem cały czas musieli się ukrywać. Często zmieniali miejsca pobytu, jednak nigdzie nie czuli się bezpiecznie. W sierpniu czterdziestego piątego roku wzięli cichy ślub, na którym byli tylko Agnieszka z Andrzejem. Drewniany kościółek był świadkiem połączenia dwóch serc, które zapragnęły być razem mimo wszystko.

- Ja, Weronika, ślubuję ci miłość, wierność... i że cię nie opuszczę aż do śmierci - mówiła Weronka ze ściśniętym gardłem.

- ... i że cię nie opuszczę aż do śmierci - powtórzył Franek, patrząc dziewczynie głęboko w oczy.

Następnego dnia rano pod przybranymi nazwiskami i ze sfabrykowanymi dokumentami wyruszyli w kolejną podróż. Celem podróży Janiny i Michała Lipców była Dania. Mieli nadzieję, że tam, pośród obcych ludzi odnajdą spokój i bezpieczeństwo. Jedyłą rzeczą, którą zabrała z sobą Weronka, były skrzypce: dostała je jako prezent ślubny od Agnieszki i Andrzeja.

- Ty masz talent do gry. Ja grałam, żeby spełnić oczekiwania ojca - powiedziała dziewczyna, oddając swój skarb.

W Nakszkov mieszkali już od ponad dziewięciu miesięcy. Było tu wielu Polaków, którzy przybyli do miasta dawno temu w poszukiwaniu pracy. Na początku przyjeżdżały tu młode Polki, które już pod koniec dziewiętnastego wieku pracowały sezonowo, najczęściej przy uprawie buraków. Niedługo potem zaczęli przyjeżdżać również mężczyź-

ni. Kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa, Duńczycy w obawie, że stracą dobrych robotników, postanowili zatrzymać Polaków. Przedłużali im umowy o pracę i dawali lepsze warunki. Coraz więcej dziewcząt wychodziło za mąż za Duńczyków i w ten sposób Polacy na stałe zagościli nie tylko w Lolland, ale i na większości duńskich wysp.

Janina i Jan osiedlili się na obrzeżach miasta, korzystając z pomocy polskich emigrantów. Dzięki pomocy Czerwonego Krzyża i Związku Polaków w Danii znaleźli pracę. Wreszcie odzyskali upragniony spokój i poczuli, że odnaleźli swoje miejsce na ziemi.

Janina Lipiec odwróciła się od spienionych wód zatoki i z uśmiechem na ustach poszła w stronę domu.

ROZDZIAŁ VIII

Październik, 1946

- Janka, zobacz, co przyniosłem. - Michał ze śmiechem zamknął drzwi wejściowe i wszedł do małej kuchni. - Prezent dla mojego Motylka - szepnął i spojrzał czule na żonę. Czasami, kiedy byli sami, nazywał ją jeszcze tym pseudonimem.

- Piękny! - krzyknęła dziewczyna, patrząc z zachwytem na drewniany zegar z mosiężnymi kowadełkami i złotą tarczą. - Skąd go masz?

- Od Sorensenów. Wyprowadzają się do tego pięknego domu nad zatoką i dzisiaj pomagałem w pakowaniu mebli, które trzeba będzie przewieźć. Zegar jest zepsuty, nie chodzi mała wskazówka i pani Sorensen chciała go wyrzucić. No to zapytałem, czy mogę go wziąć. Zgodziła się.

-Chciała go wyrzucić?! - z niedowierzaniem zapytała dziewczyna. - Jak można wyrzucić takie cudenko? - Podeszła do zegara i przytuliła się do niego.

-Po co mają naprawiać stary zegar, skoro stać ich na kupno nowego, a nawet kilku nowych. - Chłopak się zaśmiał.

- Ale ten jest cudowny. Drugiego takiego na pewno nie kupią.

- Wiedziałem, że ci się spodoba. - Michał cmoknął Jankę w usta. - Jak tylko znajdę trochę czasu, postaram się go naprawić. Może się uda?

- Na pewno się uda! Szkoda by było, żeby stał bezużytecznie. A teraz siadaj, zjemy kolację.

Dom wypełnił się aromatem gorącej zupy na talerzu. Małżonkowie śmiali się i żartując, opowiadali sobie o tym, jak im minął dzień.

- Wiesz, dzisiaj znowu przyszedł do nas na pole ten młody Kristian Larsen - mówiła Janka z ożywieniem. - Chyba podoba mu się Helenka, jak myślisz?

- Możliwe - odpowiedział Michał. - Może nasza Helenka wyjdzie za syna właścicieli plantacji? - roześmiał się.

- Nie żartuj sobie. Ale myślę, że coś się kroi pomiędzy nimi. To bardzo ładna dziewczyna, prawda?

- Prawda, prawda - przytaknął chłopak, ze smakiem dojadając resztki zupy.

Helenka była córką sąsiadów, Marty i Jana Krakowiaków. Urodziła się osiemnaście lat temu, rok po tym, jak jej rodzice przyjechali do Danii. Marta i Jan znali już dobrze duńskie obyczaje, język i wiedzieli wszystko, co powinni wiedzieć, żyjąc w obcym kraju. Na początku bardzo pomogli Janinie i Michałowi w urządzeniu się i załatwieniu wielu spraw urzędowych. Helenka była ich jedyną córką, opiekowali się nią i dbali o nią, jak tylko mogli. Dziewczyna była ładna, miała wielu adoratorów, jednak jak do tej pory żaden nie spełniał wymogów Marty i Jana. Jej zaś na razie nie w głowie były miłostki. Chciała się uczyć, wyjechać na studia. Szybko zaprzyjaźniła się z Janką. Dziewczyny lubiły ze

sobą przebywać, miały wiele wspólnych tematów i podobne podejście do wielu spraw. Dwa razy w tygodniu chodziły do polskiego kościoła. Helenka śpiewała w niewielkim chórk, a Janka przygrywała na skrzypcach. Polski ksiądz, Józef Zapalski, cieszył się, że nowa parafianka chętnie włącza się w życie kościoła.

Mijał dzień za dniem. Janina i Michał spędzali całe dni w pracy. Kiedy wracali do domu, byli zmęczeni i często nie mieli już siły na długie rozmowy. Czasem jednak wspominali dawne życie - leśniczówkę, las, Richtera. Zastanawiali się, co dzieje się z Leną, Władysławem, Agnieszką i Andrzejem. Nie utrzymywali kontaktów z nikim z Polski, odkąd tu przyjechali. Dziewczyna wiele razy modliła się o swoją przyszywaną rodzinę. Miała nadzieję, że kiedyś wróci do kraju i spotka się z nimi. Bardzo tęskniła, ale czasy były ciężkie. Wiedziała, że na razie nie może nic zrobić.

Dalej codziennie chodziła do pracy, wykonywała swoje obowiązki, ale czuła, że czegoś jej brakuje. Powoli uczyła się duńskiego. Pomagali jej w tym Helenka i Kristian, który bardzo często kręcił się w pobliżu dziewczyn. Żeby było weselej, chłopak zaczął uczyć się polskiego i z dnia na dzień coraz mocniej rywalizowali ze sobą, kto zrobił większe postępy. Nad wszystkim czuwała Helenka, która ze śmiechem przypatrywała się tej rywalizacji.

- Mówię ci, oni są dla siebie stworzeni - mówiła wieczorami Janka do swojego męża. - On w każdej wolnej chwili przychodzi do nas, żeby być blisko Helenki. A ona co chwilę zerka na niego. Zobaczysz, wkrótce zaproszą nas na wesele.

Michał tylko kiwał głową. Miał nadzieję, że Kristian nie wyrządzi dziewczynie krzywdy.

W październiku Janka nagle zasłabła podczas zbioru buraków. Helenka pomogła jej wrócić do domu. Janka nic nie mówiąc mężowi, na drugi dzień poszła do lekarza. Nie chciała martwić Michała. Wiedziała, że ostatnio ma dużo pracy, wraca do domu coraz później i jest bardzo zmęczony. Sorensen obarczał go coraz większą ilością różnych spraw. Michał był pracowity i ambitny. Nie chciał powiedzieć swojemu pracodawcy, że liczba obowiązków czasem go przytłacza.

Tego wieczora przyszedł do domu jak zwykle wyczerpany.

- Jak ci minął dzień? Dużo pracy na polu? - spytał, całując Jankę w policzek i wręczył jej bukietik stokrotek.

- Nie byłam dzisiaj w pracy - powiedziała cicho dziewczyna.

Michał przyjrzał się jej dokładnie. Niewiele zmieniła się od czasu, kiedy tu przyjechali. Jedyne nieco szorstkie ręce i podkrążone oczy mogły świadczyć o ciężkiej fizycznej pracy i zmęczeniu. Jednak jej włosy, twarz i sylwetka nadal były piękne. Krzątała się po niewielkiej kuchni z uśmiechem i wypiekami na twarzy.

- Masz gorączkę? - zapytał niepewnie Michał. -Nie.

- Jesteś chora?

- Nie, chyba nie.

- Powiesz w końcu, co się stało? - zapytał zniecierpliwiony.

- Jestem w ciąży - odpowiedziała, uśmiechając się jeszcze bardziej.

Michał otworzył szeroko oczy i przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu.

- To wspaniale! - krzyknął w końcu. - Boże, jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi! - Rzucił się w kierunku Janki, podniósł ją i zaczął kręcić się razem z nią w kółko jak szalony. Janka mocno trzymała się go za szyję.

- Puść mnie, wariacie! - krzyczała ze śmiechem. - Co ty wyprawiasz?!

- Jak to co? Chcę ci pokazać, jak bardzo się cieszę! Postawił w końcu Jankę na podłodze, klęknął u jej stóp i przytulił policzek do jej brzucha.

- Witaj, dziecinko - powiedział cicho, głaszcząc kolorowy fartuch dziewczyny. - Jesteś moim największym skarbem. Oczywiście zaraz po twojej mamie - dodał i przytulił Jankę jeszcze mocniej.

Nazajutrz rano Janka jak zwykle poszła do pracy. Na szczęście nie padało i było w miarę ciepło jak na październik. Helenka od razu zauważyła zmianę w zachowaniu swojej przyjaciółki.

- Powiesz w końcu, co się stało? - spytała podczas przerwy na śniadanie.

- Jestem w ciąży - szepnęła Janka, przysunawszy się do przyjaciółki.

- Oooo, to wspaniale! - krzyknęła Helenka, szybko jednak zasłoniła sobie usta i rozejrzała się dookoła. - Cieszę się! Zostanę przyszywaną ciocią! - Zachichotała radośnie.

- Ja też się cieszę. Nawet nie wiesz jak bardzo. Teraz będziemy prawdziwą rodziną!

- Wolisz chłopca czy dziewczynkę?

- Chciałabym, żeby to był chłopiec. Nazwiemy go Franek. - Dziewczyna się zamyśliła.

- Franek, Franciszek? Ładnie, może być.

- Ładnie, ładnie.

-A jak to będzie dziewczynka?

-Nie wiem... Może Weronika. - Janka roześmiała się i zmieniła temat. - Dosyć o mnie. Lepiej powiedz, kiedy pobieracie się z Kristianem. - Dała Helence przyjaznego kuksańca.

- Nie wiem, co o nim myśleć.

- No przecież widać z daleka, że się w nim podkochujesz.

- Myślisz? - Dziewczyna się speszyła. - To prawda. Wiem, że go kocham, ale nie wiem, czy on mnie też. Często rozmawiamy, śmiejemy się, ale czy to jest miłość z jego strony? Nie wiem. Nigdy mi nic takiego nie powiedział.

- Może jest nieśmiały?

- On nieśmiały? - Helenka się roześmiała.

- Może się boi, że go odtrącis?

- Przecież mógłby zapytać.

- No tak, ale jeśli się boi, że go wyśmiejesz, no to nie jest dziwne, że woli na razie milczeć. Może daj mu do zrozumienia, że ci się podoba?

- Ja? No co ty! - oburzyła się. - Nigdy!

- O, zobacz! - Janka kiwnęła głową. - O wilku mowa.

Kristian szedł od strony zabudowań. Jego wysoka i dobrze zbudowana sylwetka widoczna była nawet z tak dużej odległości. Chłopak szedł w kierunku dziewczyn, niosąc koszyk jabłek. Helenka pomachała mu wesoło i szepnęła do przyjaciółki:

- Tylko pamiętaj, nic mu nie mów.

- Dobrze, dobrze. Nic mu nie powiem, nie martw się - odpowiedziała również szeptem Janka, kiedy Kristian był już blisko.

- O czym nie powiesz? - spytał z uśmiechem, przyglądając się Jance.

- Tajemnica dziewczyńska - odparła wesoło.

- Jaka? *Dzeczynska!* - Kristian o mało nie połamał sobie języka na zbitce polskich głosek.

- Dziewczyńska - powtórzyła jeszcze raz wyraźnie Janka, dusząc się ze śmiechu.

Chłopak zamyślił się na chwilę, jednak dał za wygraną.

- Chyba nic z tego nie będzie. Nigdy nie nauczę się waszego języka.

- To nie takie trudne. Musisz tylko chcieć! - wtrąciła Helenka.

- Bardzo chcę. - Kristian wciąż patrzył na Jankę, która uchwyciła kątem oka błysk w jego spojrzeniu.

Jance zrobiło się niezręcznie, próbowała coś powiedzieć, ale nic jej nie przychodziło do głowy. Spojrzała na przyjaciółkę. Helenka patrzyła na nią jakoś dziwnie. A może tylko jej się wydawało?

W końcu chłopak przypomniał sobie, że przyniósł jabłka.

- Częstujcie się - zaprosił gestem.

- Janka, bierz, tobie teraz witaminy są potrzebne - powiedziała zachęcająco Helenka.

- A co, jesteś chora? - Kristian przyjrzał się dziewczynie uważnie.

- A tam od razu chora! W ciąży jest! Ona i Michał będą mieli dzidziusia! To wspaniale, prawda?! - krzyknęła Helenka.

- Tak, to wspaniale. - Chłopak znów spojrzał na Jankę. - Poczęstuj się. - Z uśmiechem na ustach podał dziewczynie koszyk.

- Dziękuję. To ja już pójdę, a wy porozmawiajcie sobie. - Janka ugryzła jabłko i odeszła, zostawiwszy za sobą milczącą parę.

Kiedy chwilę później dziewczyny razem pracowały, Helenka nie wytrzymała i wybuchła płaczem.

- Janka, przepraszam.

- Za co? - ze zdziwieniem zapytała dziewczyna.

- Powiedziałam Kristianowi o twojej ciąży. I to w taki okropny sposób - szlochała Helenka. - Ale on tak na ciebie spojrzał. Na mnie nigdy tak nie patrzy.

- No coś ty! Wydawało ci się. Jesteś po prostu o niego zazdrosna, bo nie wiesz, co czuje do ciebie. Musisz coś z tym zrobić, bo inaczej będziesz się coraz bardziej gryzła. I nie mam do ciebie żalu. Przecież niedługo wszyscy się dowiedzą, że będę miała dziecko. - Janka przytuliła szlochającą przyjaciółkę i pocałowała ją w głowę.

- Bardzo go kocham i boję się, że dla tej miłości mogłabym zrobić wszystko - szepnęła Hela.

- Będzie dobrze, zobaczysz. A może chcesz, żebym ja z nim porozmawiała, co?

- A mogłabyś?

- Pewnie!

- To porozmawiaj, błagam. Nie zniosę już dłużej tej niepewności. Lepiej zmierzyć się z najgorszą prawdą, niż żyć w nieświadomości.

Dziewczyny wróciły do pracy. Każda pogrążona w swoich myślach, rozterkach i pytaniach o przyszły los.

ROZDZIAŁ IX

Styczeń, 1947

Nowy rok zapowiadał się dobrze. Janka nie odczuwała dolegliwości związanych z ciążą, widać już było jej lekko zaokrąglony brzusek. Michał ciężko pracował, wiedział, że niedługo będzie musiał zapewnić godne życie nie tylko ukochanej żonie, ale i upragnionemu potomstwu. Kiedy wracał z nabrzeża, zmęczony i znużony całodziennym połowem ryb lub naprawą kutrów rybackich, z uwielbieniem patrzył na swoją Jankę. Ona zaś z ochotą i bez zbędnych narzekań krzątała się po kuchni, przyrządzając ulubione danie Michała - zupę rybną. Codziennie rano, kiedy Michał wychodził do pracy, modliła się, aby wieczorem szczęśliwie wrócił do domu. Miała w końcu upragniony dom, w którym miłość czuć było w każdym jego kątku. Nie byli bogaci, ale najważniejsze, że mieli dach nad głową i nie przymierali głodem. Do pełni szczęścia brakowało im jedynie tej malutkiej istotki, która miała się pojawić na świecie już wiosną.

- Jak ci minął dzień? - zapytała, nalewając zupę na dwa talerze. Nie lubiła jeść sama, zawsze czekała na męża, żeby mogli wspólnie zjeść gorący posiłek.

- Dzień jak co dzień - odpowiedział Michał. - Wolałbym spędzić go z tobą - westchnął.

-Oj, nie narzekaj. Przynajmniej nie siedzisz całymi dniami w domu i się nudzisz jak ja.

- Biedactwo moje, już niedługo nie będziesz się nudziła. - Mrugnął szelmowsko do Janki. - Wiesz, już nie mogę się doczekać.

- Ja też. - Michał podszedł do żony i czule ją pocałował.

- Jedźmy, bo wystygnie. - Janka oswobodziła się z rąk męża i gestem zaprosiła go do stołu.

- Jutro wrócę trochę później, musimy załatać ten zepsuty kuter młodego Larsena.

-Kuter Larsena? Czyżby Kristian chciał wypłynąć na połów?

- Może nie on sam, ale chce założyć firmę. Tutaj ryb nie jest wiele, ale z dobrym kutrem może wypływać daleko.

-Naprawdę planuje swój interes? Czyli nie chce być uzależniony od rodziców. Czyli chce założyć rodzinę. Czyli ożeni się z Helenką! - Janka klasnęła w ręce.

- No nie wiem, na razie kupił kuter za pieniądze od ojca. Zobaczymy, jak mu pójdzie ten cały interes...

- Nie lubisz go, prawda?

- Mało go znam, ale wydaje mi się pozorantem. Jaśnie pan na włościach. Bez kija nie podchodź - zrzędził Michał.

-Nie jest taki zły. Od kiedy zapytałam go o zamiary względem Helenki, stanął na wysokości zadania i już na drugi dzień ruszył do niej w konkury. Jej rodzice są bardzo zadowoleni z takiego narzeczonego dla córki. O Helence już nie wspomnę. Ona jest w siódmym niebie, chociaż jeszcze do niedawna zarzekała się, że mężczyźni dla niej nie istnieją.

-No tak - westchnął Michał - zobaczymy, co z tego wyjdzie...

-A co ma wyjść? Niedługo ślub, a potem długie życie w szczęściu i miłości. Takie jak nasze - uśmiechnęła się.

-Pamiętasz? Tam w lesie obiecałeś mi, że w naszym życiu jeszcze nieraz ukaże się tęcza.

- Pamiętam - szepnął Michał.

- Ona jest z nami cały czas. Piękna, kolorowa. Mam nadzieję, że zostanie z nami.

Michał podszedł do żony i przytulił ją mocno.

- Wiesz — mówiła dalej - chciałabym zatrzymać czas.

-Zatrzymać czas? To niemożliwe. Ale możesz zatrzymać szczęście. Zatrzymać je na zawsze przy sobie. A ja ci w tym pomogę.

- Jestem z tobą taka szczęśliwa. Zakochałam się w tobie pośród burz i stokrotek. Burze ucichły, stokrotki zostaną na zawsze.

Długi pocałunek rozpoczął ostatnią cudowną noc w ich życiu.

Tego dnia trochę gorzej się czuła. Ugotowała zupę ziemniaczaną i posprzątała w domu. Wynajmowali go od Sorensenów. Niewielka kuchnia i jeden pokój, ale dla nich to był cały świat.

Po południu położyła się i wzięła do ręki książkę. Teraz mało czytała. Praca i prowadzenie domu pochłaniały mnóstwo jej czasu, a kiedy wieczorem mogła pozwolić sobie na chwilę z lekturą, zazwyczaj zasypiała już po kilku stronach. Zresztą nie było tu dużo polskich książek, a duńskiego jeszcze nie znała na tyle, żeby czytać w tym języku.

Musiała się chyba zdrzemnąć, bo obudziło ją głośne pukanie do drzwi.

- Janka - usłyszała głos przyjaciółki - jesteś tam?

- Jestem, jestem - odpowiedziała, podnosząc się z łóżka.

- Zaraz otworzę.

-Ale mnie wystraszyłaś! - Helenka rzuciła się na szyję zaspanej dziewczynie. - Pukam i pukam, a ty nic. Myślałam, że coś się stało!

- Położyłam się, musiałam usnąć. - Janka ziewnęła. -Wchodź, bo zimno.

- Idziesz na próbę?

Co srodę chodziły do kościoła na spotkania chóru. Helenka śpiewała, Janka czasem przygrywała na skrzypcach, chociaż głos też miała piękny i ksiądz proboszcz nieraz prosił ją, aby śpiewała w chórze. Wolała jednak grać i na razie nie dawała się przekonać namowom proboszcza.

Msze w Nakskov od kilku lat odprawiane były w języku polskim. Na początku Polacy uczestniczyli w nabożeństwach odprawianych przez księdza Edvarda Ortveda

- Duńczyka mówiącego po polsku. Ksiądz przemieszczał się na rowerze. Na nim miał przenośny ołtarz. Odprawiał msze w magazynach, barakach, a nawet pod gołym niebem

- wszędzie tam, gdzie zebrali się wierni. Z czasem Polaków na wyspie przybywało. Zakładali polskie organizacje, szkoły, a także budowali kościoły. Tam mieli częśćkę swojej ojczyzny, którą opuścili w poszukiwaniu lepszego życia.

Janka chwilę zastanowiła się nad pytaniem przyjaciółki. Przez cały dzień wyjątkowo źle się czuła, ale stwierdziła, że może wyjście z domu dobrze jej zrobi.

- Poczekaj, przebiorę się tylko - rzuciła w stronę Helenki i poszła do pokoju.

„I tak Michał ma dzisiaj później wrócić, nie będę cały wieczór siedziała w pustym domu” - pomyślała. Spojrzała na wiszący zegar. Michał naprawił jego wskazówkę. Obie chodziły teraz, miarowo odliczając czas. Janka się uśmiechnęła. „Piękny. Jak pani Sorensen mogłaby go wyrzucić?”

- dziwiła się w myślach. Podeszła i pogłaskała drewnianą skrzynię, z miłością patrząc na tarczę. Tylko ona i Michał wiedzieli, że tam ukryty jest sekret.

Kiedy ostatniej jesieni Michał rozłożył zegar na części, długo nie wychodził z pokoju. Wieczorem zawołał Jankę.

- Chcę ci coś pokazać, zanim go złożę. Popatrz tutaj.
- Wskazał na odwróconą tyłem tarczę.

- „Weronika i Franciszek. Na zawsze razem. 1946”

- przeczytała cicho Janka wygrawerowany napis. Stała chwilę ze łzami w oczach, raz po raz czytając ich prawdziwe imiona. Weronika i Franciszek. Rozplakała się cicho, a kiedy po kilku minutach doszła do siebie, mogła tylko powiedzieć: - Dziękuję.

Stała teraz, uśmiechając się, i wspominała ten dzień. Z drugiego pomieszczenia słychać było niecierpliwe chrząknięcia. Janka ocknęła się z zadumy.

- Już idę - powiedziała, wkładając krótki płaszczyk i narzuciła na niego wełnianą chustę.

Kiedy wychodziły, już się ściemniało. Na szczęście do kościoła nie było daleko. Zazwyczaj dochodziły tam

w dwadzieścia minut. Tym razem równie szybko pokonały drogę.

- Spacer naprawdę mi pomógł. Czuję się dużo lepiej - powiedziała Janka, kiedy doszły do niewielkiego kościółka.

- Cieszę się. Wchodź, bo się spóźnimy.

Obie weszły do środka, szczelnie zamykając za sobą drzwi.

Janka chętnie słuchała pieśni, które dzisiaj wyjątkowo pięknie brzmiały. Z zamkniętymi oczami wsłuchiwała się w głos chóru i solistek. Odprężyła się i z niecierpliwością czekała na swoją kolej. Dzisiaj miała zagrać *Ave Maria* Schuberta. Bardzo lubiła ten utwór, chociaż wcale nie był łatwy. Uczyła się go długo, ale w końcu potrafiła zagrać bezbłędnie.

Zacząła grać. Wszyscy wstrzymali oddech, wsłuchując się w czyste dźwięki instrumentu. Janka delikatnie przesuwiała smyczkiem po strunach wydających cudną melodię. Kiedy skończyła i otworzyła oczy, zobaczyła wpatrujących się w nią słuchaczy. Dookoła panowała cisza, wszyscy mieli łzy w oczach. Nagle rozległy się brawa. Zebrani poszli za przykładem księdza proboszcza. Duchowny podszedł do dziewczyny i pogłaskał ją po głowie.

- Pięknie, moje dziecko - powiedział. - To dar Boży. Nie możesz go zmarnować.

Po chwili wszystko wróciło do normy. Gospodyni księdza, jak co srodę, zaprosiła przybyłych na placek z jabłkami. Czas płynął szybko i przyjemnie. Nie wiadomo, kiedy wieczór przemienił się w ciemną noc i Janka z Helenką postanowiły wracać do domu.

- Jest już tak późno! - mówiła Janka. - Michał już dawno wrócił do domu. A mnie nie ma. Co ze mnie za żona? Zamiast czekać na niego, chodzę sobie i zajadam placek z jabłkami - skarżyła się do Helenki.

- Ale jak przyjemnie było, prawda?

- Prawda, prawda — przyznała Janka.

- Pięknie dzisiaj zagrałaś. Aż ciarki rozchodziły się po całym moim ciele. Do tej pory, jak o tym myślę, to przechodzą mnie dreszcze.

- Cieszę się, że ci się podobało - uśmiechnęła się dziewczyna.

- Opowiesz Michałowi o wszystkim, na pewno nie będzie się złościł.

- Wiem, on nigdy się na mnie nie złości.

- No tak, twój mąż ma anielską cierpliwość.

-No wiesz, przecież nie damę mu powodów do niezadowolenia - zachnęła się Janka.

-Wiem, wiem... Małżeństwo idealne. - Przyjaciółka się uśmiechnęła. - Ale chodźmy już, bo tym razem się zdenerwuje. I to nie dlatego, że musi sam siedzieć w domu, tylko dlatego, że do tak późnej pory spacerujesz po mieście.

- Masz rację, chodźmy.

Ruszyły szybciej, rozmawiając o błahostkach.

Były już blisko domów, kiedy ujrzały jakieś zamieszanie na ulicy. Janka poczuła niepokój i pobiegła w tamtą stronę. Gdy była już blisko, wiedziała, że stało się coś złego.

- Michał, Michał! - zaczęła krzyczeć. Ktoś przytrzymał ją, kiedy dobiegła do budynku. Próbowwała się wyrwać, ale

nie na wiele to się zdało. Wokół słyszała podniesione głosy, jednak nie rozróżniała słów. Nagle kątem oka zobaczyła swojego męża. W tym miejscu było najbardziej jasno. Zauważyła, że ludzie, którzy tam stoją, mają lampy naftowe. Michał leżał niedaleko drzwi ich domu. Nie ruszał się, jego ubrania były rozdarte, a ciało przybrało dziwnie nienaturalną pozycję. Głowa odwrócona do tyłu, ściągnięta szyja i zakrwawiony tors powiedziały Jance wszystko. Podbiegła. Wokół zapanowała cisza. Janka stała jak skamieniała. Nagle poczuła, że po nogach coś jej spływa. Zdziwiona spojrzała na dół. Zobaczyła czerwone strużki krwi. Zakręciło jej się w głowie i upadła.

ROZDZIAŁ X

Luty, 1947

Szarość za oknem gryzła się z bielą szpitalnej sali. Trzy wąskie łóżka ze starymi materacami, niewielkie szafki przy każdym z nich i jedno krzesło - to było wszystko, na co od wielu tygodni patrzyła Janka. Niechętnie rozmawiała z pielęgniarkami, lekarzami i pacjentkami, które często się zmieniały. Zazwyczaj patrzyła przed siebie lub leżała z zamkniętymi oczami jakby nieobecna, żyjąca we własnym świecie, z własnymi myślami.

- Dlaczego znowu nic nie zjadłaś? - Do sali weszła pielęgniarka i stanęła obok łóżka Janki. - Tak nie można. Nikniesz w oczach.

Janka spojrzała na lekko siwiejącą kobietę, ale nic nie odpowiedziała.

- Musisz jeść, inaczej nigdy stąd nie wyjdiesz. Jesteś bardzo słaba. Niedługo umrzesz z głodu.

Janka zamknęła oczy i odwróciła się do ściany. Było jej wszystko jedno. „Może to i lepiej. Po co mam żyć? Znowu zostałam sama” - pomyślała i cicho zapłakała. Tamten zimowy wieczór po raz kolejny odmienił jej życie. Los ponownie z niej zakpił, dając na chwilę złudne poczucie szczęścia, które tak szybko zabrał. Michał umarł, a wraz z nim

umarła jakaś część Janki. Kolejna część umarła, kiedy okazało się, że straciła dziecko. Nie miała już po co żyć. Nie chciała żyć.

- Musisz wrócić do życia. - Usłyszała głos pielęgniarki, która jakby czytała w jej myślach. - Jesteś bardzo młoda, a czas leczy rany.

- Ja nie chcę żyć - szepnęła Janka.

- Wiem, co teraz czujesz. - Pielęgniarka usiadła na łóżku i pogłaskała dziewczynę po włosach. - Musisz być cierpliwa. Nie dzisiaj, nie jutro, ale z czasem ból będzie mniejszy.

- Nie chcę, żeby był mniejszy. Chcę czuć ten ból zawsze. To wszystko przeze mnie. Wszyscy, których kocham, umierają.

- Nie pleć głupstw. To nie twoja wina, że twój mąż zginął. Nie twoja wina, że straciłaś dziecko. Nie rozumiesz? Tak już jest na tym świecie. Czasem nam się wydaje, że życie nie ma sensu, straciło blask i jasność. I wtedy nagle gdzieś w oddali pojawia się nikły promyk światła. Pamiętaj, kiedy go zobaczysz, musisz iść do niego, żeby nie zgasł. Poczekaj jeszcze trochę, na pewno go zobaczysz.

Janka zamknęła oczy. Nie chciała słuchać żadnych morałów, pragnęła zostać sama ze swoimi myślami. Jedyne w marzeniach mogła powracać do cudownych chwil, jakie spędziła z Michałem w domku w Nakszk. Czuła dotyk i zapach Michała. Przypominała sobie błahostki, na które kiedyś nie zwracała uwagi, a teraz chłonęła wszystkie wspomnienia jak czyste powietrze. Myślała o różnych rzeczach. Przypominała sobie, że Michał zjadał jabłka razem z pestkami: „Zobaczysz, kiedyś wyrośnie ci jabłonna

w brzuchu" - śmiała się. Po powrocie z pracy całował ją w czoło, zawsze oblizywał łyżeczkę po wyciągnięciu ze szklanki z herbatą, odkładał łyżki i widelce do tej samej przegródki w szufladzie, co irytowało Jankę. Często przynosił jej stokrotki i wręczał, mówiąc: „Stokrotki dla mojego Motylka”.

Dziewczyna powracała myślami do chwili, kiedy Michał dowiedział się, że będą mieli dziecko. Był wtedy taki radosny. Cieszył się jak dziecko z tabliczki czekolady. Był taki dumny.

Janka zapłakała. Pielęgniarka znów pogłaskała ją po włosach i zanuciła jakąś duńską melodię. Janka starała się uspokoić, ale nie było to łatwe.

Obudziła się z niejasnym przeczuciem, że ktoś ją obserwuje. Powoli otworzyła oczy i zobaczyła wpatrującego się w nią Kristiana. Chłopak siedział na krzeselku obok łóżka i trzymał ją za rękę. Szybko cofnęła dłoń, a Kristian ocknął się z zamyślenia.

- Nie chciałem cię obudzić, przepraszam - powiedział cicho. - Jak się dzisiaj czujesz?

- Źle - odpowiedziała krótko i znów zamknęła oczy.

- Rozmawiałem z pielęgniarką. Mówiła, że znowu nie chcesz jeść. Tak nie można, musisz wziąć się w garść. Minęło już tyle czasu.

- Idź już, nie mam siły na rozmowę. Chcę spać. - Janka zdawała się zniecierpliwiona.

- Chcę ci pomóc.

- Nie chcę twojej pomocy.

- Jestem twoim przyjacielem. Przyjaciele pomagają sobie.
- Nie chcę niczyjej pomocy. Sama muszę się z tym uporać.
- Samej będzie ci trudno. Proszę, daj sobie pomóc.
- Idź już - powiedziała głośniej Janka i odwróciła się do ściany. Po chwili usłyszała kroki odchodzącego Kri-stiana.

Chłopak odwiedzał ją często. Chociaż bardzo go lubiła, nie chciała, żeby przychodził. Miała dziwne wrażenie, że jego stosunek do niej uległ zmianie. Może się myliła, ale delikatne muskanie ręki, włosów i pocałunki w policzek wydawały jej się bardziej niż przyjacielskie. Na samą myśl o tym czuła rozdrażnienie i złość. Nie chciała się teraz nad tym skupiać. Odsunęła od siebie natrętne przypuszczenia i odetchnęła głęboko. Pomyślała o Helence. Przyjaciółka odwiedzała ją dwa, trzy razy w tygodniu. Przychodziła sama lub z panią Martą Krakowiak - swoją mamą. Janka wołała, jak przychodziły obie. Wtedy opowiadały o pracy, spotkaniach w chórze i przekazywały sąsiedzkie plotki. Kiedy jednak czasami Helenka przychodziła sama, zwierzała się ze swoich dylematów związanych z ukochanym. Ślub z Kristianem był zaplanowany za dwa miesiące. Tak było dwa tygodnie temu.

- Janka, jestem taka zakochana, taka szczęśliwa.
- Cieszę się.
- Musisz być na naszym weselu. To będzie najcudowniejszy dzień w moim życiu.
- Na pewno będzie wspaniale.
- Wiesz, czasami myślę, że Kristian mnie nie kocha - powiedziała nagle ciszej, spuszczać wzrok.

- Co ty mówisz? Kocha cię, przecież inaczej by się z tobą nie żenił.

- Nie wiem. Czasami wydaje się taki nieobecny. Często siedzi zamyślony, a kiedy go pytam, co się stało, mam wrażenie, że chce mi coś powiedzieć, ale potem rezygnuje. Mówi, że wszystko jest w porządku, ale sama już nie wiem.

- Na pewno ci się wydaje.

- Już sama nie wiem. Często przychodzi do ciebie...

- Przychodzi, bo jest moim przyjacielem. Tak jak ty.

- Janka, jeśli on mnie zostawi, to odbiorę sobie życie -dalej cicho mówiła dziewczyna.

- O czym ty mówisz? Dlaczego miałby cię zostawić?

- Może on mnie wcale nie kocha? Może kocha ciebie?

- Co ty mówisz? - Janka próbowała nad sobą zapanować. Nie chciała mówić przyjaciółce o swoich przypuszczeniach. Nie mogła jej tego zrobić. - Przestań wymyślać. Wiesz, że to nieprawda.

- A ty go nie kochasz?

- Ja kocham Michała, wiesz o tym. -Ale Michała już nie ma.

- Jest i na zawsze pozostanie w moim sercu. Helenka spuściła głowę.

-Przepraszam. - Objęła Jankę. - Bardzo cię przepraszam. Nie wiem, co mi przyszło do głowy. Ja naprawdę bardzo go kocham i nie wyobrażam sobie życia bez niego. A w życiu wszystko może się zdarzyć.

- Oj tak, wszystko. Wiem coś o tym - powiedziała smutno Janka.

To była jedyna rozmowa dziewczyn o podejrzeniach Helenki. Przyjaciółka już więcej nie poruszała tego tematu, a Janka starała się nie zauważać dziwnego zachowania Kri-stiana. Tym bardziej, że po tej rozmowie Helenka wydawała się spokojniejsza i jeszcze chętniej opowiadała o przygotowaniach do ślubu.

- Nie mogę się już doczekać - mówiła i odliczała dni. Janka nie miała sumienia mówić jej, że rozmowa o weselu, ślubie, szczęściu bardzo ją męczy. Nie była w stanie słuchać paplaniny przyjaciółki, ale nie chciała jej robić przykrości. Helenka była taka młoda, radosna i zakochana. Wierzyła, że cały świat cieszy się jej szczęściem. Zawsze jednak po takiej wizycie Janka długo nie mogła dojść do siebie. Na szczęście takie spotkania były rzadkością.

Pogładziła się po płaskim brzuchu i znów cicho zaszlochała. „Kiedy to cierpienie się skończy? Kiedy zapomnę? Kiedy przestanie tak boleć?” - zadawała sobie pytania, szlochając coraz głośniej.

Następnego dnia obudziła się w jeszcze bardziej ponurym nastroju. Z łóżka spojrzała za okno. Widok też był ponury - szary świat spowiła mgła, siąpił deszcz i nic nie wskazywało na to, że w najbliższym czasie coś się zmieni. Tak samo jak w jej życiu. Janka patrzyła długo na ten widok, zastanawiając się, jak potoczą się jej losy.

- Czas na mnie - powiedziała do siebie po cichu i powoli wstała z łóżka.

- Gdzie pani idzie? - spytała pacjentka, którą przywieźli tu kilka dni temu.

- Czas na mnie - powtórzyła głośnieJ Janka.

- Może zawołam pielęgniarkę, źle pani wygląda.

- Nie, nie trzeba. Poradzę sobie.

- Na pewno?

- Tak, dziękuję.

Pewnym krokiem wyszła na korytarz. Stała na chwilę, jakby zastanawiała się, w którą stronę iść. Odwróciła się do pacjentki, uśmiechnęła do niej i poszła przed siebie.

„Gdzie ona idzie?” - rozmyślała starsza kobieta. „Przecież ubikacja jest po drugiej stronie. Chyba nie wyjdzie ze szpitala w samej koszuli i kapciach...”

Janka zajrzała do pokoju pielęgniarek. Nikogo w nim nie było. Weszła do środka i stanęła przed szklaną szafą wypełnioną lekami. Nie było ich dużo. Otworzyła drzwiczki i wzięła jedną fiolkę do ręki. Próbowwała przeczytać ulotkę, ale nie знаła pojęć farmakologicznych w języku duńskim. Mimo wszystko otworzyła buteleczkę i wysypała na rękę wszystkie tabletki, które tam były. Spojrzała na nie i się uśmiechnęła. Podniosła rękę z pastylkami do ust i zamknęła powieki. Nagle poczuła silne szarpnięcie i dłoń z tabletkami nieoczekiwanie odskoczyła na dół. Janka otworzyła oczy i zobaczyła stojącą przed nią pielęgniarkę. Kobieta chwyciła ją za ramiona i mocno nią potrząsnęła.

- Co ty robisz?! Połknęłaś coś?

- Nie - odpowiedziała nieprzytomnie, patrząc na leżące na podłodze białe pastylki.

- Usiądź! - Pielęgniarka podsunęła Jance krzeselko. Nalała wody do kubka i podała dziewczynie. - Chciałaś się zabić?

Janka nie odpowiedziała.

- Nie boisz się śmierci?

-Nie, nie boję się śmierci. Boję się życia. Siostra Annika chwilę patrzyła na dziewczynę.

- Pracuję w tym szpitalu już trzydzieści lat. Dużo widziałam i poznałam wiele ludzkich historii. Czasem wesołych, częściej smutnych. Wiele lat temu przywieźli tu mężczyznę. Miał trzydzieści lat. Amputowali mu obie nogi, nie miał dwóch palców u jednej ręki. Ludzie mówili, że jego żona i dwie córeczki płynęły statkiem. Zdarzył się wypadek, statek poszedł pod wodę, wszyscy utonęli. Mężczyzna nie mógł się z tym pogodzić, powtarzał, że to jego wina, bo gdyby z nimi płynął, na pewno by je uratował. Chciał umrzeć. Położył się na torach, ale śmierć nie była mu pisana. Na początku był wściekły na wszystkich, że uratowali mu życie. Krzyczał, płakał, prosił, żeby pozwolić mu umrzeć. Minęło dużo czasu, zanim zrozumiał, że musi żyć. Bo żyjąc, nadal można kochać tych, których już nie ma. Myśleć o nich, pamiętać ich. Tych wspomnień nikt nigdy ci nie zabierze, one należą tylko do ciebie. A twój mąż na pewno chciałby, żebyś znów była szczęśliwa. Zawsze będziesz o nim pamiętała, ale życie toczy się dalej. Zawalcz o siebie i swoją przyszłość. Wiem, że dużo przeszłaś. Pomyśl: czy warto było walczyć przez całe życie, żeby teraz się poddać?

Janka słuchała w skupieniu.

- Co się stało z tym mężczyzną? - zapytała po chwili.

Pielęgniarka uśmiechnęła się.

- Został moim mężem. Minęło wiele miesięcy, zanim zrozumiał, że życie nadal może być piękne.

Widząc zaskoczoną minę Janki, dokończyła:

- Urodziły się nam bliźnięta - chłopczyk i dziewczynka. Teraz mają po dwadzieścia lat. A Lasse, mój mąż, odkrył w sobie talent malarski - maluje pejzaże. Ręką, u której ma trzy palce - dodała i wstała z krzesła. - Chcesz wrócić do łóżka?

- Tak - odpowiedziała.

Dwa tygodnie później Janka żegnała się z siostrą Anniką z mocnym przeświadczeniem, że musi żyć. Miała w głowie plan, który chciała jak najszybciej zrealizować.

Kiedy weszła do domu, wszystko okazało się jednak dużo trudniejsze, niż przypuszczała. Znajome szafki, stół, krzesła, lustro wydały jej się obce i dalekie. Kurz i pajęczyny były dobrze widoczne w marcowym popołudniowym słońcu. Janka zdjęła z głowy chustkę i ciężko usiadła na brzegu krzesła. Zamknęła oczy i zagryzła wargi. „Muszę być teraz silna. Dla ciebie, dla siebie” - pomyślała, powstrzymując się od płaczu. Odetchnęła głęboko kilka razy i otworzyła oczy. Jej wzrok zatrzymał się na starym zegarze, który skrywał tajemnicę. Teraz wiedziała o niej już tylko ona. Jej rozmyślenia przerwało pukanie do drzwi. Pomyślała, że to pewnie Helenka i poszła otworzyć. Na progu stał Kristian.

- Dzień dobry - przywitał się.

-Dzień dobry - odpowiedziała, stojąc dalej przy drzwiach.

- Mogę wejść?

- A gdzie Helenka? Czekam na nią.

- Przyjdzie wieczorem. Powiedziałem jej, że będziesz później. Chciałem najpierw z tobą porozmawiać.

- Cóż, w takim razie wejdź, proszę. Odsunęła się tak, aby gość mógł wejść.

- Słucham, o czym chcesz rozmawiać? - spytała zniecierpliwiona, nie ruszając się z miejsca.

- Mogę usiąść?

- Zanim coś powiesz, pamiętaj, że jesteś zaręczony z Helenką. Ona jest moją przyjaciółką. A ja nadal kocham Michała.

Kristian chwilę milczał, jakby szukał słów, które ma wypowiedzieć.

- Wiem, ja to wszystko wiem. Ale ja nie kocham Helenki, nigdy jej nie kochałem i nie pokocham. Kocham tylko ciebie. Odkąd cię poznałem, chciałem być tylko z tobą. Posłuchaj, Janka, zawsze miałem nadzieję, że w końcu zrozumiesz, komu naprawdę na tobie zależy. Że odejdiesz od Michała i będziesz ze mną. Na początku spotykałem się z Helenką, bo chciałem wzbudzić w tobie zazdrość. Może to i głupie, ale tak było. Ale ty dalej nie zwracałaś na mnie uwagi. Widziałaś tylko swojego męża. Postanowiłem, że będę z Helenką, żeby być blisko ciebie. I tak jakoś wyszło. Te nasze zaręczyny, miłość, to wszystko kłamstwo. Powiem jej to jeszcze dzisiaj. Michała już nie ma i nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy byli razem. Ty i ja. Na zawsze razem.

- Co ty mówisz?! - ze złością spytała. - Co ty mówisz?! - powtarzała pytanie, trzymając się za głowę. - Natychmiast wyjdź z naszego domu!

- Janka, nie ma już was. Zostałaś sama. Wiem, jest jeszcze za wcześnie, ale pomyśl. Kto cię tak pokocha jak ja? Widziałem, jaka byłaś zakochana w Michale. Zazdrościłem mu codziennie, jak patrzysz na niego, jak go całujesz na powitanie, jak uśmiechasz się i słuchasz mało śmiesznych żartów. Wiem, że mnie też możesz tak pokochać.

- Przestań! Nie chcę tego słuchać! Jesteś kłamcą i oszustem. Biedna Helenka, jak mogła się zakochać w kimś takim jak ty?!
- krzyczała.

- Janka, uspokój się. Pomyśl rozsądnie.

- Już dosyć powiedziałaś! Proszę cię, wyjdź i nie wracaj więcej - oznajmiła spokojniejszym tonem.

- Jesteś tego pewna?

- Tak, jestem pewna.

- Nie dasz sobie sama rady. Potrzebujesz **kogoś, kto** się tobą zaopiekuje.

- Poradzę sobie. A teraz wynoś się! Kristian spojrzał na dziewczynę ze złością.

- Dobrze, wyjdę. Jeszcze kiedyś do mnie wrócisz i będziesz prosiła o wybaczenie. Wtedy to ja cię wyrzucę! -Spojrzał nienawistnie na Jankę i wybiegł.

Janka usłyszała odgłos trzaśnięcia drzwiami i wzdrygnęła się. Stała w miejscu jeszcze chwilę, nie mogła zrozumieć, co tu się przed chwilą wydarzyło. Opadła na podłogę i głośno zapłakała.

Kiedy wieczorem kładła się spać, po raz pierwszy sama od śmierci męża w ich wspólnym łóżku, uświadomiła sobie, że to ostatnia noc w tym domu. Długo nie mogła zasnąć, rozmyślała o przeszłości i o tym, co przyniosą jej nowe dni.

Nazajutrz wcześnie rano zaczęła pakować najpotrzebniejsze rzeczy. Nie było tego wiele, kilka sukienek, swetrów, płaszczyk. Potem podeszła do rzeczy Michała. Dotykała ubrań, wchłaniała ich zapach, tuląc je i gładząc. Postanowiła, że oddaje do kościoła. Na pewno komuś się przydadzą. Proboszcz się tym zajmie. Kiedy skończyła, zajęła się wyposażeniem domu. Wszystkie meble, garnki i inne przedmioty domowego użytku były częścią wynajmowanego domu, więc nie musiała się przejmować, jak je przewieźć w inne miejsce. Pościerała kurz i umyła podłogi, aby nie zostawiać mieszkania w totalnym bałaganie. Było koło jedenastej, kiedy uporowała się ze wszystkim i usiadła na chwilę, żeby odpocząć. Usłyszała pukanie do drzwi. Westchnęła głęboko i podeszła otworzyć. Miała nadzieję, że to nie Kristian. Tym razem na progu domu stała Helenka. Uśmiechała się szeroko i tupiała radośnie, próbując ogrzać zziębnięte stopy.

-Nareszcie wróciłaś. Nawet nie wiesz, jak się cieszę! Tak mi cię brakowało. - Weszła do środka i mocno przytuliła przyjaciółkę.

- Siadaj - zaprosiła Janka.

- Jak się czujesz? Ładnie wyglądasz, mam nadzieję, że teraz będzie tylko lepiej.

- Tak, czuję się już dużo lepiej.

- To wspaniale! Ja też czuję się cudownie - szepnęła Helenka konspiracyjnie.

- Musimy porozmawiać o czymś ważnym.

- Dobrze, dobrze. Będziemy teraz miały dużo czasu na rozmowy. Ale najpierw ja ci coś powiem. Coś bardzo ważnego.

- Myślę, że lepiej będzie, jak najpierw wysłuchasz mnie.
- Proszę, jestem taka szczęśliwa - szczebiotała Helenka.
- No dobrze, mów. - Janka uśmiechnęła się, widząc radosne podniecenie przyjaciółki.

- Wiesz, że nie byłam pewna co do uczuć Kristiana. Mówiłam ci o tym, pamiętasz?

- Tak, pamiętam - odpowiedziała ostrożnie.

- Szczerze mówiąc, bałam się twojego powrotu ze szpitala. Myślałam, że jeśli moje przypuszczenia są prawdziwe, Kristian zwiąże się z tobą, mnie zostawi i tak zakończy się moja wielka miłość. Ale wyobraź sobie, że wczoraj, kiedy miałam wychodzić do ciebie, on przyszedł do naszego domu! - Dziewczyna zaklaskała. - Był taki szarmancki! Przyniósł mi bombonierkę. Pierwszy raz w życiu coś mi dał, i to bez żadnej okazji. Czy to nie urocze? Powiedział, że kocha mnie najbardziej na świecie i że najchętniej ożeniłby się ze mną już jutro. Było tak miło i radośnie. Cały czas rozmawialiśmy o przyszłości. Ojej, jak ja go kocham. Jest taki cudowny!

Janka słuchała w milczeniu, przypatrując się podekscytowanej przyjaciółce.

- Helenko, jesteś pewna, że on nie kłamie?

-No coś ty! Przecież bym zauważyła. Zresztą, dlaczego pytasz? - spytała nieufnie.

- Bo wydaje mi się, że to nie jest dobry kandydat na męża dla ciebie.

- Jak to? Przecież zawsze ci się podobał, mówiłaś, że pasujemy do siebie. O co ci teraz chodzi? A może chcesz za niego wyjść, co?

- Nie, nie chcę za niego wyjść i nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

- To dlaczego tak mówisz?

-Chcę tylko, żebyś to przemyślała. Jesteś taka młoda i śliczna. Znajdziesz sobie kogoś, kto na ciebie zasługuje. On był wczoraj u mnie.

-I co z tego? Chciał cię po prostu przywitać. Powiedział mi o tym - przerwała jej Helenka. - Kocham Kristiana i nic tego nie zmieni. Chcę zostać jego żoną, nawet jeśli on kocha mnie mniej niż ja jego - powiedziała dobitnie. - Zapamiętaj to sobie. Cokolwiek powiesz i zrobisz, nie zmieni to mojej decyzji.

Janka westchnęła cicho i przytuliła przyjaciółkę.

- Życzę ci szczęścia.

- Na pewno będę szczęśliwa. Helenka rozejrzała się po pokoiku.

- Pakujesz swoje rzeczy?

- Tak, wyjeżdżam dzisiaj wieczorem.

- Jak to? Na długo?

- Na zawsze.

- Dlaczego?

- Nie mogę tu dłużej mieszkać, nie potrafiłabym.

- Rozumiem. Ale poczekaj do naszego ślubu. Przecież miałaś być druhną.

- Znajdziesz kogoś innego. Ja nie mogę tu zostać.

- Dokąd jedziesz?

- Na razie zatrzymam się w Maribo, a potem zobaczymy.

- Napiszesz do mnie?

- Jasne.

- Pomóc ci jakoś?
- Jeśli możesz, chciałabym, żebyś zaniósła ubrania Michała do kościoła. Może się komuś przydadzą. Mnie byłoby trudno je tam zostawić.

Helenka spojrzała na niewielkie pudełko ze zrozumieniem.

- Oczywiście, że zaniosę.

Spojrzała na prawie pustą walizkę Janki.

- Tylko tyle zabierasz?

- Nic więcej nie potrzebuję. Ale zabieram jeszcze ten zegar. - Wskazała na swój ukochany mebel.

- Ten stary zegar? - zdziwiła się Helenka. - A na co ci on?

- To pamiątka - ucięła krótko Janka.

- Lepiej weź skrzypce. Będiesz z nich miała przynajmniej jakiś pożytek.

- Skrzypce dam pani Sorensen. Nie mam pieniędzy, a muszę jej zapłacić za ostatni miesiąc wynajmu domu. Mam nadzieję, że się zgodzi.

- A na czym będziesz grać?

- Ja już nigdy nie będę grać. To wszystko przez to, że wtedy poszłam na próbę; gdyby nie to, wszystko byłoby jak dawniej - szepnęła Janka.

- Wiesz, że to nieprawda.

- Ja wiem swoje. Nigdy już nie zagram.

W pokoju zapadła cisza. Po chwili odezwała się Helenka:
- Zapomniałam, rodzice zapraszają cię dzisiaj na obiad.

- Przyjdę, chcę się z nimi pożegnać. Ale najpierw pójdę na cmentarz. Chcę się pożegnać z Michałem.

- Chcesz, żebym poszła z tobą?
- Nie, chcę być z nim sama.
- Dobrze. W takim razie pójdę już. Do zobaczenia później.
- Do zobaczenia.

Janka bez trudu odnalazła nagrobek Michała. Od księdza dowiedziała się, że został pochowany obok pana Abramczyka - sąsiada, na którego pogrzebie była razem z mężem kilka miesięcy temu.

Podeszła do drewnianego krzyża i pogłaskała delikatnie.

- Mówiłeś, że nigdy mnie nie opuścisz. I jak tu wierzyć mężczyznom? - Próbowała się uśmiechnąć. - Wyjeżdżam. Nie wiem, czy kiedyś tu wrócę. Ale ciebie zabieram ze sobą. Będiesz ze mną już na zawsze, gdziekolwiek będę. Jesteś w moim sercu i zawsze będziesz. Boję się. Bardzo się boję - mówiła dalej, przez łzy. - Nie mam teraz nikogo. Ani ciebie, ani dziecka. Znowu zostałam sama. Wierzę, że patrzysz na mnie gdzieś tam z góry. Kiedyś znowu się spotkamy. Do zobaczenia, kochany.

Odwróciła się i pobiegła w stronę cmentarnej bramy, nie oglądając się za siebie.

Kiedy wieczorem wsiadała do pociągu, zrozumiała, że to koniec kolejnego rozdziału w jej życiu. Zostawiała za sobą najpiękniejsze chwile, ale wiedziała, że nigdy ich nie zapomni. Wspomnienia trzymały ją przy życiu. Na peronie zostały coraz bardziej oddalające się postaci Helenki i pani Marty, które przyszły ją pożegnać. Janka wiedziała, że już

nigdy ich nie zobaczy. Nie miała też zamiaru pisać do przyjaciółki. Nie chciała, aby cokolwiek zakłócało szczęście małżeńskie Helenki. Wierzyła, że z czasem Kristian pokocha przyszłą żonę i ona, Janka, na pewno nie będzie stać temu na przeszkodzie. Była gotowa poświęcić przyjaźń tylko po to, aby Helenka znalazła szczęście przy boku ukochanego mężczyzny. „Życzę ci, abyś zawsze była szczęśliwa” - myślała, kiedy patrzyła na dziewczynę.

Helenka zaś na peronie czuła, jakby zdjęto z niej ogromny ciężar. Machając Jance ręką na pożegnanie, pomyślała o Kristianie: „Teraz należysz tylko do mnie. Nikt więcej nie jest w stanie nas rozdzielić”. Pani Marta w tym samym momencie westchnęła: „Biedna dziewczyna! Oby los się do niej uśmiechnął”.

ROZDZIAŁ XI

Kwiecień, 1949

Janka szła szybko do niewielkiego budynku, w którym mieściła się szkoła. Ranek był tak piękny, że pozwoliła sobie na zbyt długie leniwe przyglądanie się pięknu, które ją otaczało. Majestatyczne dęby puszczały pierwsze po zimowym śnie pędy, a rozłożyste lipy rozwijały zielone listeczki. Powietrze pachniało mokrą od deszczu ziemią, co sprawiało, że oddychało się lekko i głęboko. Chwila błogiego nastroju sprawiła, że teraz Janka musiała się spieszyć, aby zdążyć na pierwszą lekcję. Prawie od pół roku była nauczycielką języka polskiego w tutejszej szkole. Uczyła dzieci emigrantów, którzy przyjechali tu wiele lat temu w poszukiwaniu lepszego życia. Szkołę prowadziła siostra Klara, wysoka i dobrze zbudowana zakonnica, która samym swoim wyglądem budziła respekt nie tylko uczniów, ale i nauczycieli. Dziewczyna na samą myśl o przenikliwym wzroku siostry Klary jeszcze przyspieszyła kroku. Wpadła do szkoły w ostatniej chwili.

Janka bardzo lubiła swoją pracę. Na początku, kiedy przyjechała do Maribo, sprzątała w domu doktora Hansa Knudsen i jego żony Kirsten. Duńskie małżeństwo miało czworo dzieci, samych chłopców. Wkrótce Janka zaczęła

pomagać pracodawczyni przy małych urwisach. Doktorowa była bardzo zadowolona z tego, jak Janka radzi sobie z dziećmi. Zabawa i niekończące się opowieści zdawały się nigdy nie męczyć młodej Polki, a i chłopcy byli zadowoleni, bo uwielbiali spędzać czas z Janką.

- Jak ja dawałam sobie radę bez ciebie? - pytała pani Knudsen wieczorami, składając ręce i patrzyła na swoje pociechy, które nigdy nie miały dosyć szaleństw i coraz bardziej wymyślnych zabaw.

- To nic wielkiego. Chłopcy są wspaniali - odpowiadała. - Bardzo ich lubię i cieszę się, że oni też mnie polubili.

- Świetnie radzisz sobie z całą czwórką. A to nie takie proste, wiem coś o tym.

Pewnego popołudnia Janka została wezwana na rozmowę do niewielkiego salonu. Pani Knudsen siedziała przy okrągłym stoliku z filiżanką herbaty w ręce. Doktor stał wyprostowany z rękami założonymi za plecami. Na nosie miał okulary, przez które smutno patrzył na dziewczynę.

-Usiądź. - Wskazał na obite czerwonym materiałem krzesło.

Janka posłusznie wykonała polecenie. Czuła, że coś jest nie tak i lepiej będzie, jeśli wysłucha tego na siedząco. Pani Knudsen spuściła wzrok, a jej mąż zaczął mówić:

- Mieszkasz u nas od niedawna, ale traktujemy cię jak członka rodziny. Jesteś bardzo dobrą i zdolną dziewczyną. Chłopcy cię kochają jak siostrę i to, co teraz powiem, nie będzie dla mnie łatwe.

Janka nabrała głęboko powietrza i przymknęła oczy.

- Słucham - powiedziała cicho.

- Dostałem pracę w szpitalu w Kopenhadze - zaczął Hans Knudsen. - Jedziemy tam za dwa tygodnie. Nie możemy cię ze sobą zabrać. Będziemy mieszkać w dwupokojowym mieszkaniu przy szpitalu. Nie wiem, jak się tam zmieścimy z czwórką dzieci. Sama rozumiesz. Myśleliśmy o wynajęciu pokoju dla ciebie, ale na razie po prostu nas nie stać. Musimy najpierw pomyśleć o kupnie czegoś większego.

- Proszę się nie tłumaczyć - przerwała Janka. - Przecież ja u państwa tylko pracuję.

- Tak, ale jesteś dla nas jak rodzina - odezwała się pani Kirsten. - Bardzo byśmy chcieli, żebyś pojechała z nami, jednak na razie jest to niemożliwe.

- Rozumiem. Proszę się nie martwić, poradzę sobie. Będzie mi państwa bardzo brakowało. A najbardziej chłopców. Bardzo się z nimi zżyłam.

- Oni z tobą też. Dlatego tym bardziej jest nam przykro. - Doktorowa wstała i podeszła do siedzącej dziewczyny. Delikatnie dotknęła jej ramienia. - Może kiedyś, za jakiś czas... Jak już się urządzimy, przyjedziesz do nas?

Janka skinęła lekko głową. Jej świat po raz kolejny legł w gruzach, czuła, że traci poczucie bezpieczeństwa. Łzy napływały jej do oczu, ale nie chciała się rozplakać. Chciała udowodnić, że stała się silną kobietą. Kobietą, która po raz kolejny poradzi sobie z przeciwnościami losu.

- Rozmawiałem z siostrą Klarą ze szkoły. Chce cię przyjąć na stanowisko nauczycielki. Możesz uczyć języka polskiego. Wiem, że sobie poradzisz. Lubisz dzieci, a dzieci lubią ciebie. Chcesz spróbować? - zapytał pan Knudsen.

- Tak, oczywiście. - Janka była zaskoczona propozycją lekarza. - Bardzo panu dziękuję.

- Chcemy ci pomóc. Mamy nadzieję z żoną, że wszystko się ułoży. Na pewno sobie poradzisz.

Dwa tygodnie później Janka rozpoczęła pracę jako nauczycielka w miejscowej szkole. Wynajęła malutki pokój u polskiego małżeństwa, które od wielu lat mieszkało w Danii. Danuta i Bogumił Mrozkowie nie mieli dzieci, a ich niewielkie pensje z ledwością starczały na utrzymanie małego domu i codzienne wydatki. Chętnie wynajęli pokój w zamian za dodatkowy zarobek.

Dni mijały, a Janka coraz lepiej radziła sobie z małymi uczniami. Lubiła tę pracę. Przypominały jej się tajne nauki, które prowadziła w czasie wojny pani Lena. Janka już wtedy jej pomagała, a i sama chętnie się uczyła. Pamiętała, jak razem z Agnieszką przygotowywały się do zdania matury. Bardzo dużo musiały się wtedy uczyć, a wszystkiego dopilnowała mama Agnieszki. Do egzaminu maturalnego obie podeszły z powodzeniem na wiosnę tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Przebiegał on w konspiracji, na tajnych kompletach w pobliskim miasteczku. Dziewczyny nie wiedziały nawet, jak nazywają się profesorowie, którzy je egzaminują. Janka z nostalgią wspominała czasy, kiedy długo w nocy przy blasku świec odpowiadały sobie nawzajem na pytania. Dziś nie miała nawet papierka, który potwierdzał zdanie egzaminu. Kiedy wyjeżdżała z Polski, ani w głowie jej było szukanie dokumentów, zresztą nikt tu o to nie pytał.

Janka wbiegła do szkoły, potrącając w drzwiach siostrę Klarę.

- Przepraszam - uśmiechnęła się, dygnęła jak pensjonarka i pobięła dalej.

Siostra Klara pokiwała z dezaprobatą głową i zamknęła drewniane drzwi.

Nazajutrz wszyscy zebrali się na placyku. Jak co roku od siedemdziesięciu sześciu lat miało odbyć się tu Święto Dębu. Mieszkańcy miasteczka świętowali ten dzień bardzo radośnie. Dąb był tu uważany za króla drzew, ale tak naprawdę każdy pretekst był dobry, aby po wielu szarych i mokrych miesiącach zimowych w końcu wyjść z domu i świętować razem z sąsiadami. Święto Dębu było początkiem cieplejszych i dłuższych dni, a co za tym idzie - dodawało energii i pozytywnych emocji mieszkańcom miasteczka.

Janka szła szybkim krokiem, z uśmiechem obserwując mijanych po drodze ludzi. Roześmiane dzieci biegly przed rodzicami, kilku pijaczków chwiejnie stało pod drzewem i popijało coś z butelki, starsze małżeństwo szło pod rękę, dyskutując o czymś żywo. Na placu było już sporo ludzi, którzy śmiali się, witali ze znajomymi, głośno rozmawiali. Dzieci biegały dookoła, ganiały się i przypatrywały kolorowym dekoracjom. Proporczyki, balony i kawałki bibuły poruszały się lekko muskane wiatrem. Na niewielkim podeście grała orkiestra. Janka spojrzała w tamtą stronę i pierwsze, co jej się rzuciło w oczy, to skrzypce, na których grał siwiejący mężczyzna. Chwilę patrzyła na sprawnie sunący po strunach smyczek. Przymknęła oczy i z błogością wsłuchiwała się w dźwięk instrumentu. Czas się zatrzymał. Była tylko ona i dźwięk ukochanego instrumentu. Słyszała jedynie skrzypce, które grały coraz piękniej i piękniej.

- Dzień dobry! - Natarczywy głos przywołał ją do rzeczywistości. Otworzyła oczy i zobaczyła stojącego przed sobą Jacoba. - Coś się stało? Mówiłem do ciebie kilka razy, nie odpowiadałaś - dopytywał.

- Nie, wszystko dobrze. - Janka otrząsnęła się z odrętwienia. Poczula, że z oczu spływa jej łza. Szybko ją otarła i uśmiechnęła się do starszego kolegi. - Chodźmy dalej - zaproponowała.

Jacob był nauczycielem historii. Pracował w szkole już od dawna i był cenionym pedagogiem. Starszy od Janki o piętnaście lat chętnie zdradzał dziewczynie tajniki nauczania, przekazał jej wiele cennych uwag o szkole, uczniach, a przede wszystkim o siostrze Klarze. Jacob do tej pory się nie ożenił, mieszkał sam w domu kupionym za własne pieniądze. Jego rodzice zmarli wiele lat temu, rodzeństwa nie miał. Janka bardzo go polubiła. Mieli podobne zainteresowania i poczucie humoru. Mimo dużej różnicy wieku lubili rozmawiać i przebywać ze sobą w wolnych chwilach.

Dzisiaj umówili się na wspólne świętowanie i oboje bardzo się cieszyli, że spędzą razem trochę czasu nie tylko w szkole, ale i poza nią.

- Popatrz, oni już chyba skończyli świętować. - Jacob wskazał ręką na pijaczków leżących pod drzewem.

- Chyba tak. Już jak tu szłam, oni świętowali. Widocznie bardzo się zmęczyli tym świętowaniem - powiedziała Janka ze śmiechem.

- Przynajmniej się wyśpią na powietrzu. A wiesz, że nasze miasteczko założył król pochodzący z Darłowa? - Jacob zmienił temat.

- Nie wiedziałam, naprawdę? - Dziewczyna się zdziwiła.
- Tak. W tysiąc czterysta szesnastym roku założył je Eryk Pomorski.

- Ha, czyli gdyby nie król Eryk, nie byłoby tego pięknego miasteczka?

- Pewnie nie - zaśmiał się Jacob. - Jego babka była Dunką, pewnie dlatego czuł do tego kraju sentyment. Rozbudował stolicę i inne miasta duńskie. Ale potem zaczęły się wojny, Eryk stracił tron i zaczął napadać ze swoimi ludźmi na statki kupieckie. W końcu objął władzę w księstwie słupskim, osiadł na zamku w Darłowie. Podobno posiadał ogromne skarby zdobyte podczas wypraw korsarskich. Do dzisiaj nie wiadomo, co się stało z wszystkimi kosztownościami.

- Nie miał dzieci?

- Podobno miał jednego syna, ale zrodzonego z nieprawego łoża, jak to się kiedyś mówiło. Po śmierci żony wdał się w romans z jej pokojówką Cecylią i według ówczesnego kronikarza mieli syna Eryka juniora. Ten jednak zmarł w dzieciństwie.

- To przykre. Wielki władca, a jednak musiał czuć się samotny. I nieszczęśliwy - powiedziała.

- Co do tej wielkości, to nie przesadzajmy... - Jacob się roześmiał. - Ale na pewno nie było mu łatwo. W tamtych czasach romans króla z pokojówką nie był dobrze widziany. Tym bardziej że para prawdopodobnie wzięła ślub, a to już było prawdziwym mezaliansem.

Janka spojrzała na Jacoba z podziwem.

- Dużo wiesz o dawnych czasach.

- Przecież jestem nauczycielem historii.

-Ale to nie tylko wiedza. To pasja, czuję to.

- Masz rację. Bardzo lubię zagłębiać się w życie tych, którzy mieli jakiś wpływ na życie nasze, a czasem i całego świata. Odkrywam ich tajemnice nikomu dotąd nieznanne. Na to potrzeba dużo czasu, a ja ten czas mam. - Popatrzył na dziewczynę.

Janka spojrzała mu w oczy i zobaczyła coś, czego do tej pory nigdy u Jacoba nie dostrzegła. Był to promyczek, światełko, na które czekała od tak dawna. „Czy to o takim światełku mówiła Annika?” - zapytała się w duchu. Spuściła wzrok i poszła w stronę bawiącego się tłumu. Jacob podążył za nią.

Ślub Janki i Jacoba odbył się w miejscowym kościele. Niewielkie przyjęcie, na które zaprosili kilku znajomych ze szkoły - w domu Jacoba. Po północy, kiedy zostali sami, mężczyzna wziął za rękę swoją młodą żonę.

- Wiesz, że kocham cię, jak jeszcze nigdy nikogo nie kochałem. Chcę, żebyś była szczęśliwa. Zaslugujesz na to jak nikt inny. Przeżyłaś bardzo wiele w swoim życiu. Dopilnuję, żebyś od dzisiaj już nigdy więcej nie miała powodów do smutku.

- Nie chcę takich deklaracji. Życie nauczyło mnie pokory. Chcę się cieszyć tym, co mam, tym, co mamy. Nie chcę myśleć, co będzie kiedyś. Ważne jest to, co teraz.

Lekko pocałowała męża w usta, rozpoczynając pierwszą w ich życiu wspólną noc.

ROZDZIAŁ XII

Wrzesień, 1949

Dziś mijało dziesięć lat od pamiętnej nocy, która zmieniła na zawsze całe życie dziewczyny. Jutro kończy dwadzieścia trzy lata. Co się stało z Weronką? Czy te dziesięć lat temu mogła przypuszczać, jak potoczą się jej losy? Czy mogła zapobiec śmierci swojej rodziny? Dlaczego wtedy nie umarła razem z nimi?

Stała przy oknie i zastanawiała się nad tym, ale były to pytania bez odpowiedzi. Tamta dziewczynka sprzed dziesięciu lat istniała gdzieś głęboko w świadomości Janki. Czasami, kiedy ta miała gorsze dni, przychodziła, zadając różne pytania. Na szczęście ostatnio takie dni zdarzały się coraz rzadziej. Janka była zajęta pomysłem, który chciała zrealizować w ciągu roku. Pomysł zrodził się w jej głowie, kiedy przeczytała już wszystkie książki, jakie były dostępne w szkolnej bibliotece w języku polskim. A było ich zaledwie kilkanaście. Janka w porozumieniu z siostrą Klarą postanowiła urządzić polską bibliotekę z prawdziwego zdarzenia. Pomyślała, że nie tylko polscy uczniowie będą mogli z niej korzystać, ale i ich rodzice. Napisała wiele pism do wydawnictw w Polsce z prośbą o przesłanie egzemplarzy książek. Pisała też do różnych instytucji, a nawet do osób prywat-

nych, których adresy dostawała od polskich rodzin mieszkających w Danii.

Na początku nie było odzewu, ale z czasem książki zaczęły przychodzić z różnych stron Polski. Janka wiedziała, że taka działalność jest bardzo ograniczona ze względu na sytuację polityczną w kraju, ale nie poddawała się. Miała nadzieję, że sytuacja się unormuje i będzie dużo prośbiej.

Janka siedziała właśnie w małym pomieszczeniu i wyciągała kolejne zdobycze z niewielkich pudełek. Dotykała każdej książki, wachała ją i oglądała dokładnie. Niektóre egzemplarze były nowe, niektóre używane, ale to nie miało najmniejszego znaczenia. Najważniejsze, że były.

- Co dzisiaj nowego? - spytał Jacob, całując żonę pieszczotliwie.

-Dzisiaj przyszły dwie przesyłki. Tutaj mam nowe Prusa, stare, ale w dobrym stanie. -A w drugiej?

- Zaraz otworzę.

Jacob wziął do ręki niewielkie książki w języku polskim. Zajrzał do środka i próbował coś przeczytać, przesadnie modulując głos, aby jego starania były bardziej widoczne.

- Przestań! - Janka się śmiała. - Nie przesadzaj, przecież język polski wcale nie jest taki trudny!

- Jak dla mnie to chyba trudniejszy niż chiński.

- Na pewno nie! Przecież znasz kilka słów.

- Tak, dobrze powiedziane - kilka... Ale najbardziej podoba mi się „Kocham ce” - powiedział łamaną polszczyzną Duńczyk.

-Cię.
- Ce - powtórzył.
- Widzę, że musimy poćwiczyć. Udzielę ci korepetycji.
- Dziś wieczorem?
- Po kolacji.
- Dobrze, po kolacji uczymy się twojego języka. A teraz idę do domu. Mam klasówki do sprawdzenia na jutro. A ty kiedy wrócisz?

-Niedługo. Rozpakuję to pudełko, spiszę wszystkie książki, które przyszły w tym tygodniu, i wracam.

- Dobrze. W takim razie do zobaczenia.

Janka pomachała mu na pożegnanie. Popatrzyła na męża czule, kiedy wychodził z pomieszczenia. Czuła się przy nim bezpieczna i kochana.

Z uśmiechem na ustach zaczęła odpakowywać kolejną paczkę z książkami. Po jej wielkości i ciężarze domyśliła się, że może tam być nawet pięć albo i sześć pozycji. Cieszyła się na samą myśl o kolejnych zdobyczach. Szybko otworzyła pudełko. W środku znajdowało się siedem książek dokładnie pozawijanych w czarno-białe strony gazet. „Żeby się nie zniszczyły” - powiedziała do siebie Janka i zaczęła odwijać jedną z nich. Nagle jej oczy natrafiły na wydrukowany tekst. „Polska gazeta” - pomyślała dziewczyna, szybko jednak karcąc się w duchu. „A jaka ma być? Wiadomo, że polska”. Spojrzała na datę. Maj tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego. „Stara, ale to nic. Co my tu mamy?” - zaczęła czytać jedną ze stron.

W Warszawie została utworzona Centralna Szkoła Prawnicza im. Teodora Duracza. W ciągu dwóch lat nauki uczenio-

wie mają zdobyć przygotowanie praktyczne i teoretyczne do wykonywania zawodu oraz pełnienia stanowisk sędziowskich i prokuratorskich. Dyrektorem Centralnej Szkoły Prawniczej powołany został Igor Andrejew.

„Igor Andrejew?” - westchnęła. Przebiegła wzrokiem dalszą część strony, ale nic ciekawego nie było. *Kolarski wyścig pokoju* - brzmiał następny tytuł, ale jej wzrok przykuła kolejna informacja. Przeczytała szybko kilka linijek tekstu. Nie mogła uwierzyć, w to, czego się dowiedziała. Zaczęła głośno płakać, tuląc pogniecioną stronę gazety. Do małej salki wbiegła siostra Klara.

- Janka, co się stało? Dlaczego płaczesz? Dziewczyna nie odpowiedziała. Podała kobiecie gazetę.

- Co to jest? - Siostra Klara szybko przebiegła wzrokiem po rubrykach. Zatrzymała się na dole strony i zaczęła czytać.

W dniu ósmym maja tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku Rejonowy Sąd Wojskowy zakończył proces Jana Małowąskiego oskarżonego o dowodzenie od lata tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku oddziałem leśnym, dezercję z WP, udział w zabójstwie czterech żołnierzy Armii Czerwonej, udział w pobiciu członków PPR, nielegalne posiadanie broni. Oskarżony został skazany na karę śmierci. Wraz z Małowąskim skazani zostali:

Leon Rogacki - piętnaście lat więzienia,

Andrzej Pigoń - kara śmierci,

Agnieszka Bieszczicka - kara śmierci,

Marek Gruchalski — dwanaście lat więzienia,

Marta Gałązka - więzienie dożywotnie.

Siostra Klara skończyła czytać i spojrzała pytająco na Jankę.

- Domyślam się, że ich znasz - powiedziała do dziewczyny.
- Agnieszka i Andrzej to moi przyjaciele.
- To stara gazeta, minęło już tyle czasu. Wyroki na pewno zostały dawno wykonane i nic nie można zrobić. Pan Bóg rozliczy wszystkich z ich czynów. Zostaw to Stwórcy.
- A co z panią Leną? Co z panem Władysławem? Stracili kolejne dziecko. - Dziewczyna głośno myślała, wciąż szlochając.
- To dla wszystkich czas próby.
- Muszę się nad tym zastanowić - powiedziała cicho Janka, patrząc na siostrę Klarę.
- Tylko nie rób głupstw. Przemyśl wszystko dokładnie. Obiecujesz?
- Tak, obiecuję.

Janka ponownie wzięła gazetę do ręki i jeszcze raz przeczytała komunikat. Potem siedziała długo, rozmyślając o przeszłości. Kiedy podjęła w końcu decyzję, wstała, zamknęła drzwi na klucz i poszła do domu. Teraz musiała porozmawiać z mężem.

Tej nocy w domu Janki i Jacoba długo widać było jasną poświatę światła bijącego od zapalonej lampy. Mężczyzna dużo wiedział o przeszłości Janki, ale żona nie opowiadała mu nigdy całej swojej historii. Teraz wiedziała, że aby mąż ją zrozumiał i uszanował decyzję, którą podjęła, musi poznać całą prawdę. Historię jej życia bez żadnych niedopowiedzeń, uników i kłamstewek. Tej nocy powiedziała mu o wszystkim, o śmierci rodziców, rodzinie Błaszczycyckich,

o kochanej pani Lenie, Agnieszce, małym Bronku i panu Władysławie. To im zawdzięczała życie, mieszkała z nimi wiele lat i traktowała ich jak rodzinę. Z nimi przeżyła wojnę i dzięki nim przetrwała dni zwątpienia. Jacob musiał to zrozumieć.

Nad ranem, zmęczeni całonocną rozmową, na chwilę zasnęli. Kiedy Janka otworzyła oczy, zobaczyła męża stojącego do niej tyłem. Patrzył przez okno na błękitne niebo, na którym gdzieś w oddali widać było lecące dokądś ptaki. Janka podeszła do Jacoba i mocno go objęła.

- Pojedziesz ze mną do Polski? - zapytała, nie patrząc na mężczyznę.

- Z tobą pojedę wszędzie. Nawet do Polski - odpowiedział.

CZEŚĆ DRUGA

*/.. ./wydaje nam się [...], że przeszłość nie została należycie
dopowiedziana czy zamknięta. Coś powinno zostać
wyjaśnione, coś przeliczone na nowo, zrozumiane.*

Jan Józef Szczepański

30 kwietnia

Za miesiąc lecę do Danii. Może to trochę dziwne, ale okazało się, że list, który otrzymałam pewien czas temu, napisał adwokat dawnego znajomego mojej babci - Kristiana Larsena. Pytałam mamę, ale ona niewiele wie na temat pobytu babci Janeczki w tym kraju. Mnie też mało o tym opowiadała. Skontaktowałam się z adwokatem telefonicznie, ale powiedział mi, że ten jego klient jest już w bardzo podeszłym wieku i prosił, abym przyjechała w bardzo ważnej sprawie. Chciał nawet opłacić mi bilet na samolot. Oczywiście odmówiłam.

Chciałabym, żeby Rafał poleciał ze mną, ale jeszcze nie doszedł do siebie po postrzeleniu i pobiciu przez Korela. Jakiś czas temu mój chłopak napisał artykuł o nielegalnej plantacji marihuany pod Opolem. Wtedy Korei *vel* Relko chciał przekonać Rafała, żeby sobie odpuścił tę sprawę. Kiedy to nie pomogło, postrzelił go i ślad po nim zaginął. Są dwie możliwości. Albo wyjechał za granicę, albo ma tutaj jakąś dobrą kryjówkę i kpi sobie z organów ścigania. Wolałabym to pierwsze rozwiązanie, ale mam dziwne przeczucie, że ta sprawa pomiędzy nim a Rafałem nie jest jeszcze zakończona. Obym się myliła. Rafał, co prawda, wyszedł ze

szpitala, ale nie czuje się jeszcze na tyle dobrze, żeby wybrać się w podróż samolotem. Trudno, polecę sama.

Od kilku dni jest piękna, prawdziwie wiosenna pogoda. Jeżdżę do Sośnicy i mojego ukochanego mężczyzny tak często, jak to tylko możliwe. Piernik, mój kot, już wyprowadził się tam na dobre i nawet nie patrzy na mnie, kiedy wsiadam do samochodu i odjeżdżam do małego mieszkania, które jeszcze nie tak dawno temu było nasze wspólne. Zaprzyjaźnił się z Mimi, kotką Malickich, choć ich pierwsze spotkanie nie wróżyło nic dobrego. Stali naprzeciwko siebie, Mimi nastroszyła ogon, Piernik prychnął raz za razem i w końcu poszli każde w swoją stronę. Jednak po kilku dniach Ola zatelefonowała do mnie, choć przecież byłam w domu tuż za płotem, i powiedziała:

- Julia, przyjdź do mnie na chwilkę. Chcę ci coś pokazać.

- Koniecznie teraz? - Właśnie robiłam na obiad zapiekankę z ciemnego makaronu, kurczaka i brokołu.

- Teraz - syknęła koleżanka.

- Dobra, idę.

Kiedy weszłam na sąsiednie podwórko, od razu zobaczyłam ten piękny widok - Mimi i Piernik baraszkowali razem przed domem w niewielkiej piaskownicy mojej chrześnicy Julci. Koty tarzały się po suchym piasku, co wyglądało tak, jakby kąpały się w basenie.

Westchnęłam, bo już zaczęłam sobie wyobrażać kanapę Rafała, na której z upodobaniem wylegiwał się Piernik. Z domu wyszła Ola.

- No i co o tym sądzisz? Chyba w końcu doszły do porozumienia?

- Chyba tak. Ale nie wiem, co z kanapą Rafała...

- Daj spokój! - Przyjaciółka machnęła ręką. - Zaraz się otrzepie i będzie po kłopotach. A zresztą parę ziarenek piasku nikomu nie zaszkodzi...

- Ciocia, ciocia! - Usłyszałam głos Julci wybiegającej z domu.

- Cześć, moja królewno. Dlaczego siedzisz w domu, skoro taka piękna pogoda?

- Muszę narysować pipopotama. Pani Jola powiedziała, żeby w domu narysować zwierzątko, które się nam najbardziej podobało w zoo.

Przypomniało mi się, że wczoraj Julcia była na wycieczce z przedszkola w zoo w Chorzowie.

- Najfajniejszy był pipopotam. Leżał w takim wielkim basenie, a w nim pływało jedzenie dla tego pipopotama. - Julcia opowiadała, machając rękoma i robiąc przy tym wielkie oczy. - Taki pipopotam to ma fajnie, no nie?

- Ale chyba mu nudno tak samemu leżeć w tym basenie?

- Coś ty, ciocia. On cały czas je. Nie ma czasu się nudzić. Spojrzałyśmy na siebie z Olą i parsknęłyśmy śmiechem.

- Jakie jeszcze widziałaś zwierzątka w zoo?

- Żyrafy, słonie, waboły... - Julcia się zamyśliła. - Nie pamiętam, co jeszcze. Ale było ich dużo. Chciałabym mieć takiego pipopotama - rozmarzyła się.

- Chyba już wystarczy nam tych zwierzątek, co? - roześmiała się jej mama. - Zobacz, będziemy mieli nowego kota. - Wskazała na Piernika, teraz grzecznie śpiącego u boku Mimi w piaskownicy.

- O, super! - Julcia klasnęła. - A gdzie Guzik z Pętelką?
- Rozejrzała się dookoła.
- Benek zabrał je na spacer do lasu.
- To dobrze, bo byłby abaras.
- Co? - zdziwiła się Ola.
- No, abaras. Pani w zoo mówiła, że jak czasem zwierzątka w klatkach się pokłóca, to robi się abaras.

Ola przewróciła oczami i pokiwała głową.

- Idź kończyć ten swój rysunek, mój mały „Abarasie”
- powiedziała do córki. - Po południu jedziemy do kina, pamiętasz?

- Pamiętam, pamiętam. - Julcia podskoczyła kilka razy z radości i klasnęła.

- To idę, pa, ciocia! - Przesłała mi buziaczka i już jej nie było.
- Ona jest cudowna, jedyna i niepowtarzalna - powiedziałam, uśmiechając się do swojej przyjaciółki.

- Tak, masz rację. Jest jedyna w swoim rodzaju. Przed Świątami Wielkanocnymi prosiła panią Jolę w przedszkolu, żeby ta narysowała jej zajaczka nocnego - westchnęła Ola.

- Zajaczka nocnego? - roześmiałam się głośno. - Dobrze, muszę sobie to zapamiętać.

W tym momencie przypomniało mi się o zapiekance wstawionej do piekarnika. Szybko pożegnałam się z Olą i rzuciwszy okiem na rozanielonego Piernika śpiącego obok Mimi, pobiegłam do domu.

Od tego dnia oba koty żyją ze sobą przyjaźni i rzadko się rozstają. Częściej przebywają u nas, bo jednak dwa długowłose owczarki niemieckie kręcące się po parceli Malickich to trochę dla nich za dużo.

Wczoraj spotkałam się z moim ulubionym sąsiadem -panem Antonim. Teraz rzadziej się widzimy, ale nadal bardzo lubimy. Od ostatniej zimy bardzo dużo zmieniło się w naszych kontaktach. Po tym, jak wjechał w niego samochód i potrzebował pomocy, bardzo się do siebie zbliżyliśmy. Ten wścibski i złośliwy na pierwszy rzut oka człowiek okazał się sympatycznym, uczuciowym starszym panem z dużym bagażem doświadczeń. Kilka lat temu zmarła jego ukochana żona. Dwoje dzieci od wielu lat mieszkało za granicą i właściwie ani syn, ani córka nie utrzymywali kontaktów z ojcem. Mam nadzieję, że po mojej interwencji udało się zbliżyć ich do siebie. Na razie wszystko idzie w dobrym kierunku. A co będzie dalej? Czas pokaże.

A na razie pan Antoni tryska energią, jest radosny i pełny zapału. Specjalnie na przyjazd syna i córki postanowił wymalować mieszkanie. Oczywiście nie własnoręcznie, wynajął pana Zenka z pierwszego piętra. Sąsiad bardzo chętnie odświeżył wszystkie ściany, wymienił kafelki na podłodze w łazience, a nawet zainstalował prysznic zamiast wanny. Ilonka, żona pana Zenka, wysprzątała tak, że teraz wszystko lśni czystością i pięknie pachnie. Nie ma już zaduchu, zapachu starości i kurzu.

- Pięknie to wyszło, panie Antoni - powiedziałam z uznaniem, kiedy weszłam do wyremontowanego mieszkania.

- Ładnie, nie mogę powiedzieć. Trzeba jeszcze wymienić tę okropną wykładzinę w przedpokoju, ale to musi poczekać. Może za rok?

- Jest naprawdę dobrze. Pani Ilonka tak wysprzątała, że wykładzina wygląda jak nowa.

- Może masz rację - uśmiechnął się szeroko sąsiad.

W moim mieszkanku zrobiło się trochę pusto. Przede wszystkim nie ma już Piernika. Zawsze zostawiam go z Rafałem. Wiem, że to głupie, ale myślę sobie, że Rafał bardziej potrzebuje towarzystwa niż ja. Czuję, że się polubili i Piernikowi jest tam dobrze.

Kilka dni temu zatelefonowała do mnie Irenka, moja kuzynka. Zdziwiłam się, bo nie utrzymujemy ze sobą bliskich kontaktów, rzadko rozmawiamy i nieczęsto się spotykamy.

- Cześć, kuzynko! - przywitała mnie radośnie.

- Cześć, co się stało? - spytałam bez zastanowienia.

- Nic, chciałam pogadać. Dawno się nie widziałyśmy.

- Masz rację, dawno. Co u was? Opowiadaj - zachęciłam.

- Oj ciężko, ciężko. Dawid dalej pracuje w magazynie, zarabia grosze, a pracy coraz więcej. I ile musi się nadźwigać... Przychodzi do domu po dziesięciu godzinach taki zmęczony, że od razu siada w fotelu albo kładzie się i zasypia.

„Taaak, taki zmęczony, że odpoczywa przed telewizorem z piwkiem w ręku, a potem zasypia” - pomyślałam, bo o tym, że mąż mojej kuzynki lubił sobie wypić, wiedziała cała rodzina.

- Ja w szpitalu też zarabiam niewiele. A dzieci coraz większe, ciągle potrzeba pieniędzy to na to, to na tamto. A skąd tu brać?

- westchnęła Irenka.

„Chyba chce, żebym pożyczyła jej parę złotych” - pomyślałam, a głośno powiedziałam:

- U mnie też się nie przelewa, ale jeśli chcesz, to mogę ci coś pożyczyć.

-Nie przesadzaj - prychnęła. - Tobie się powiodło. Masz dobrą pracę, nie masz dzieci, mieszkanko małe, więc za czynsz też płacisz niewiele. Nie to co my.

Te jej obliczenia nieco mnie zdenerwowały, w dodatku wspomniała o dzieciach. Powiodło mi się, bo nie mam dzieci?! Ale ponieważ nie chciałam rodzinnych kłótni, spokojnie mówiłam dalej:

- Jak chcesz, to wyślę ci przelewem, podaj numer konta. Oddasz, kiedy będziesz mogła. Co ty na to?

-No wiesz, masz mnie za nędzarkę?! - obruszyła się Irenka. - Ja nie chcę zebrać od ciebie pieniędzy!

- Przecież to tylko pożyczka. - Chciałam załagodzić sytuację.

- Myślałam, że zaproponujesz mi coś innego.

- Co? - spytałam zdziwiona.

-Nie udawaj. Wiem, że jedziesz do Danii. Wszyscy w rodzinie wiedzą, że nasza babcia tam mieszkała jakiś czas i jakiś jej znajomy ma do ciebie sprawę. A może to chodzi o naszego dziadka? Możliwe, że jego rodzina nas odnalazła, co sądzisz? Właściwie to nie wiem, dlaczego ten adwokat napisał do ciebie, a nie do mojego ojca czy twojej matki, ale mniejsza z tym. Jeśli chce z tobą rozmawiać, to pewnie chodzi o pieniądze. Uważam, że mnie też się coś należy. Skoro majątek ma odziedziczyć wnuczka, to drugiej też się coś należy, prawda?

- O czym ty mówisz? Jaki majątek?

- A po co niby cię tam zaprasza? Pogadać o dawnych czasach? Przecież ty nic nie wiesz o pobycie babci w Danii. Nigdy nam nic nie mówiła. A może tobie coś jednak powiedziała?

- Irenka, daj spokój. Przecież wiesz, że babcia pod tym względem była konsekwentna i mało opowiadała nam o swoim życiu.

-A może ten znajomy po prostu nie wie, że babcia ma dwie wnuczki, a nie jedną? - zmieniła temat Irenka. -W każdym razie mam nadzieję, że nie zapomnisz o swojej kuzynce.

-Na pewno nie zapomnę. - Odłożyłam telefon i odetchnęłam głęboko.

„Zaczyna się” - pomyślałam. „Oby ta sprawa szybko się wyjaśniła, bo Irenka nie da mi żyć”.

Dzisiaj jadę do Sośnicy. Spakowałam więcej letnich ubrań, bo pięknie i słonecznie, choć to dopiero koniec kwietnia. Zabrałam też wygodne klapki, krem do opalania (a co tam, może się przyda!) i oczywiście książkę. Tym razem będę rozwiązywać zawiłą zagadkę kryminalną z aspirantem w pewnej małej miejscowości.

3 maja

Wiosenna burza rozpętała się na dobre. Ledwo zdążyłam wrócić do domu, kiedy lunął potężny deszcz. Zaparzyłam sobie zieloną herbatę w ulubionym kubeczku z fiołkami,

siadłam na taborecie w kuchni przy oknie, spojrzałam przez szybę i uśmiechnęłam się. Lubiłam burzę. Nigdy nie rozumiałam ludzi, którzy się jej bali. Ja mogłam patrzeć na błyskawice rozświetlające szare niebo bez końca. Wsłuchiwałam się w odgłos dobiegających z daleka grzmotów, pukanie wielkich kropli deszczu o szyby i parapet. Patrzyłam, jak nieliczni przechodnie próbują przeskakiwać przez ogromne kałuże, które pojawiały się szybko, by jeszcze szybciej zniknąć, kiedy pojawi się słońce. A słońce pojawiała się zawsze. Wcześniej czy później, ale zawsze po burzy wychodzi.

Zamknęłam oczy i wróciłam myślami do dni spędzonych u Rafała. Uśmiechnęłam się, bo już sama droga do Sośnicy okazała się dla mnie i wielu innych użytkowników dróg wyzwaniem...

Kiedy spakowałam wszystkie potrzebne czy też niepotrzebne rzeczy do niewielkiej torby podróżnej, wsiadłam do mojej astrusi i wyjechałam na autostradę, okazało się, że na ten sam pomysł wpadło chyba co najmniej pół miasta nie tylko mojego, ale i wszystkich w pobliżu. Już przy zjeździe korek był taki, że zanim zjechałam na główną drogę, musiałam odstać swoje. Dalej nie było lepiej. Jechałam w żółtym tempie, dodatkowo żółt był albo bardzo stary, albo wyjątkowo opieszaly.

Na szczęście działało radio, które niedawno wymieniłam na nowe, więc mogłam sobie pośpiewać bez obawy, że ktoś usłyszy. Mając w perspektywie trzy dni spędzone z moim ukochanym, humor mi dopisywał i nawet korek nie był w stanie go zepsuć. Zadowolona na samą myśl o czekającym mnie cudownym weekendzie śpiewałam

razem z zespołem „Szczęśliwej drogi, już czas, mapę życia w sercu masz...”¹. Następnie razem z moją ulubioną Amy darłam się „I said no, no, no”, a po kilkuminutowej przerwie na informacje powróciłam do mojego koncertowania. „Lecę tam, gdzie chcę, nie zatrzymasz mnie...”² słychać było z odbiornika, więc szybko wpadłam w sidła tej optymistycznej piosenki, dając z siebie wszystko. Potem było jeszcze kilka kawałków, które starałam się zaśpiewać całą sobą.

Kiedy jednak usłyszałam „Chcę tu zostać...”³, a ja nadal stałam w tym samym miejscu co kilka piosenek temu, nieco przystopowałam, unikając tytułowych słów. Gdy usłyszałam radosny głos śpiewający „Nie chcę wyjeżdżać stąd”⁴, zirytowana przestałam śpiewać i postanowiłam, że na dzisiaj wystarczy tych słowicznych treli. Ściszyłam radio i naburmuszona nerwowo zaczęłam stukać palcami o kierownicę. W końcu udało mi się dojechać do miejsca, gdzie okazało się, że przyczyną tego gigantycznego zastoju byli ubrani w pomarańczowe kombinezony z jaskrawozielonymi pasami robotnicy, którym właśnie tuż przed majówką zachciało się malować pasy na przejściu dla pieszych. Widziałam, że wielu kierowców otwierało szyby i mówiło coś do owych panów. Nie słuchałam, ale podejrzewam, że nie były to podziękowania za okazywaną troskę o stan zebry na drodze. Przejechałam obok nich

¹ „Szczęśliwej drogi, już czas”, sł. M. Skolarski.

² „Lecę tam”, sł. K. Popowska.

³ „Chcę tu zostać”, sł. J. Kozak.

⁴ „Ja nie chcę wyjeżdżać stąd”, sł. K. Bednarek.

i dodałam gazu, chociaż ten dzień i tak był już stracony. Nastawiłam głośniej radio i wsłuchiwałam się w rytmy latynoskiej muzyki, mając nadzieję, że dalsza jazda minie bez przygód. Jak za chwilę się okazało, bardzo się myliłam. Zadzwoił telefon. Na szczęście od dłuższego czasu miałam zestaw głośnomówiący, więc bez przeszkód mogłam odebrać.

-Julia? Słyszysz mnie? - Usłyszałam zniekształcony głos Rafała.

- Tak słyszę, słyszę - odpowiedziałam.

- Gdzie jesteś? Martwię się, już dawno powinnaś być u mnie.

- Stałam w korku. Panom malarzom zachciało się właśnie dzisiaj poprawiać zebkę na drodze, no i przy okazji korek zrobili piękny, długi na parę kilometrów. Ale niedługo powinnam dojechać.

- Okej, w takim razie czekam. Uważaj na siebie.

W tym momencie spojrzałam we wsteczne lusterko i zobaczyłam migające światła w samochodzie za mną.

- Wiesz, jakiś samochód jedzie za mną i miga światełkami na niebiesko. Ale te migotki ma na dole w zderzaku. Ciekawe po co? - Jeszcze zdołałam spytać, zanim Rafał zdążył wcisnąć czerwoną słuchawkę.

- Jak to miga?! - W jego głosie słychać było lekkie zdenerwowanie.

- Normalnie. Jedzie i miga.

- Zatrzymaj się! - krzyknął mój ukochany głośno.

- Co? Dlaczego? - spytałam, ale właśnie w tej chwili coś zrozumiałam.

- To policja?! - zapytałam, włączając prawy kierunkowskaz i jednocześnie nacisnęłam pedał hamulca.

- Brawo, Sherlocku. Mam nadzieję, że nie narozrabiłaś za bardzo - westchnął Rafał.

- Też mam taką nadzieję - odpowiedziałam i zatrzymałam samochód na poboczu. Szybko wyłączyłam telefon i otworzyłam okno samochodu. W samą porę, bo do drzwi dochodził już niespiesznym krokiem przysadzisty stróż prawa.

- Dzień dobry, starszy aspirant Jakub Bania - przedstawił się policjant, salutując. - Proszę prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

-Dzień dobry - odpowiedziałam grzecznie i podałam dokumenty.

- Gdzie to pani kierowca się tak spieszy?

„To chyba pierwsze pytanie, które zawsze zadają policjanci kierowcy po zatrzymaniu samochodu” - pomyślałam.

- Do domu. - W jakimś sensie była to prawda. - Parę kilometrów wcześniej jest ogromny korek, stałam tam godzinę - powiedziałam ze skruszoną miną. - Chciałam teraz trochę nadgonić. Naprawdę nie można jechać parę kilometrów więcej, niż jest napisane na znaku? - uśmiechnęłam się przymilnie.

- Niby można, ale trzeba za to zapłacić - powiedział niewzruszony aspirant Bania. - A o korku wiemy, wiemy. Też staliśmy. Przez pewien czas nawet obok pani - uśmiechnął się, przeglądając dokumenty.

- Tak? - zdziwiłam się. - Nie zauważyłam panów.

I wtedy przypomniałam sobie, że w korku przez cały czas śpiewałam razem z radiowymi wykonawcami. Mojego dar-

cia słycać pewnie nie było, ale wygibasy i podrygi pewnie były widoczne co najmniej dla kilku kierowców. Nie pomyślałam wtedy o tym... No pięknie!

Pokręciłam z niedowierzaniem głową, schowałam twarz w dłoniach i westchnęłam głośno.

- Niech się pani nie martwi. My też lubimy czasem pośpiewać w samochodzie - powiedział Jakub Bania, jakby czytał w moich myślach. Próbował ukryć uśmiech.

- Skąd pan wie, że sobie podśpiewywałam? - Próbowałam zachować twarz.

- Podśpiewywałam sobie? - zapytał, już nie próbując ukryć rozbawienia. - To raczej wyglądało na koncert, a nie podśpiewywanie. A po drugie - mamy włączone to samo radio. Ruchy warg pasowały do tego, co słyszeliśmy. I jeszcze do tego ta mimika! Naprawdę, dobre to było.

Skuliłam się w fotelu, ale mimo moich usilnych prób nie zapadłam się pod ziemię ani nie wtopiłam w siedzenie.

- To tak dla zabicia czasu - wybąkałam w końcu, czując, że się czerwienię. Jednocześnie wiedziałam, że za chwilę wybuchnę śmiechem, bo nagle cała ta sytuacja bardzo mnie rozbawiła.

- Pani Julio, przekroczenie dozwolonej prędkości o dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę. Według taryfikatora najniższa kara to jest sto złotych i cztery punkty karne. Ma już pani jakieś punkty na swoim koncie?

- Miałam, ale chyba już się przedawniły - powiedziałam zrezygnowana. - A może tylko mnie pan pouczy, po co te punkty? - spytałam z nadzieją.

- Niestety, pani Julio. Wszystko mamy nagrane i nie możemy nic zrobić. Ale oczywiście pouczyć panią też mogę.

- Mrugnął do mnie, szeroko się uśmiechnął i odszedł do nieoznakowanego radiowozu.

Czekałam chwilę, zanim wypisał mandat. Zauważyłam, że w tym czasie drugi policjant zatrzymał następnego delikwenta, który wysiadłszy z samochodu, mocno gestykulował i dyskutował zawzięcie. Kiedy w końcu „mój” policjant przyszedł do mnie, zapytał:

- A za co były tamte punkty? Też za prędkość?

- Nie. Skręciłam na zakazie.

- Nie zauważyła pani znaku?

- Znak widziałam. Ale radiowozu nie zauważyłam - odpowiedziałam z rozbijającą szczerością.

Policjant roześmiał się już teraz głośno i pokiwał głową z rozbawieniem. Podał mi druczek mandatu i powiedział:

- Może pani jechać, ale noga z gazu. - Pogroził mi palcem. - Do widzenia! - Znów zsalutował.

- Do widzenia - odpowiedziałam. - Byle nie za szybko

- dodałam już ciszej, odpalając wóz.

Kątem oka zobaczyłam, jak nieszczęśnik z zatrzymanego za mną samochodu wysiada z radiowozu i już nieco spokojniej rozmawia ze stróżami prawa. Odjechałam w końcu, marząc, aby jak najszybciej znaleźć się w Sośnicy. Pomyślałam, że taki początek majówki nie może wróżyć nic dobrego. Wzięłam do ręki telefon, aby opowiedzieć Rafałowi o zajściu. Na pewno siedzi biedaczek i się martwi. Wystukałam jego numer i spojrzałam we wsteczne lustro. „Nie, to niemożliwe!” - pomyślałam z przerażeniem w oczach. Za

mną bowiem zobaczyłam znany mi już skądinąd nieoznakowany radiowóz. W dodatku znowu migał. Nie zastanawiając się długo, wściekła na cały świat, a najbardziej na siebie, że znowu coś przekrobałam, z piskiem opon zatrzymałam się na poboczu i otworzyłam okno. Z czarnej insigni wyszedł aspirant Jakub Bania. Tym razem podszedł od strony pasażera i otworzył drzwi.

- Panie policjancie, ja naprawdę nic nie zrobiłam - powiedziałam żałośnie, ale kiedy zobaczyłam jego rozbawioną minę, nie wiedziałam, czego się spodziewać.

-Pani Julio! - Policjant kucnął przy samochodzie. -Przepraszam, że znowu panią zatrzymaliśmy, ale zapomniałem oddać pani dokumenty. - Spojrzał na mnie i podał dowód rejestracyjny oraz prawo jazdy.

- A już myślałam, że da mi pan następny mandat - powiedziałam z ulgą.

- Na dzisiaj chyba mandatów wystarczy, prawda? - zapytał z uśmiechem. - Do widzenia.

- Do widzenia, do widzenia - odpowiedziałam. Policjant zamknął drzwi, a ja odjechałam, nawet nie próbując już zatelefonować do Rafała. Do Sośnicy zostało tylko kilkanaście kilometrów, postanowiłam skupić się na jeździe, bo nie miałam najmniejszego zamiaru na ponowne spotkanie z aspirantem Banią.

Pierwszy dzień majówki rozpoczął się błogim leniuchowaniem w łóżku. Padało, więc poranny spacer musieliśmy przesunąć w czasie. Zamknęłam oczy i wsłuchiwałam się w krople deszczu bębniące o parapet. Ich mia-

rowy odgłos dawał mi poczucie bezpieczeństwa. Kiedy w końcu wstaliśmy tuż przed dziesiątą, zrobiłam kawę i ochoczo zabrałam się do robienia śniadania. Postanowiłam dzisiaj upiec warzywne placuszki. Szybko startłam na tarce cukinię, pokroiłam paprykę i dodałam jajko. Wszystko wymieszałam z odrobiną otrębów, siemieniem lnianym, natką pietruszki i ulubionymi przyprawami. Na patelnię wylałam łyżkę oliwy, a kiedy była gorąca, usmażyłam na niej placuszki trochę przypominające wyglądem placki ziemniaczane.

- Ładnie pachnie. - Rafał wciągnął powietrze nosem tuż nad patelnią.

- Uważaj, gorące!

-Uważam, uważam. Nie mam zamiaru znów leżeć w szpitalu, tym razem na oparzeniówce - roześmiał się.

- Siadaj, już podaję - westchnęłam, bo słabo mi się zrobiło na samą myśl o powrocie do szpitala.

Rafał rozłożył talerze, sztucce i usiedliśmy do stołu.

- Po śniadaniu możemy pójść na krótki spacer, przestało padać - powiedziałam, pałaszując przepyszne danie. Spojrzałam przez okno.

- Jasne. A po południu przyjeżdża Ula, pamiętasz? - zagadnął Rafał.

- Tak, pamiętam. Cieszę się, bo już dawno jej nie widziałam.

- Faktycznie, ostatnio jest bardzo zajęta.

- Ciekawe, czy przyjedzie sama, czy z tym nowym chłopakiem.

Zadzwoił telefon.

- To mama. - Rafał zerknął na wyświetlacz i odebrał połączenie.

- Pozdrów ją - szepnęłam i zaczęłam sprzątać ze stołu.

- Mama też cię pozdrawia - krzyknął mój ukochany. - Nie martw się, mamó, na pewno wszystko jest okej. - Usłyszałam, jak mówi do matki: - Dzisiaj ma do nas przyjechać, pogadam z nią.

Po kilku minutach odłożył telefon.

- Co się stało? - spytałam.

- Rodzice martwią się o Ulkę. Podobno światła nie widzi poza tym swoim lowelasem. Nie wraca na noc, nie dzwoni i nie odbiera telefonów.

- Przecież to nie małe dziecko. Nie może być ciągle pod kontrolą mamusi i tatusia - powiedziałam, kiwając głową.

- Też im to powiedziałem. Ale wiesz, jacy są rodzice. Ula do tej pory była grzeczną dziewczynką, więc trudno im się przyzwyczaić, że to już dorosła kobieta i może robić, co chce. Nawet nie wracać do domu na noc. - Zamyślił się. - Moja mała siostrzyczka - dodał z nostalgią.

Po powrocie z krótkiego spaceru Rafał musiał chwilę odpocząć, więc ja postanowiłam poczytać. Usadowiłam się wygodnie na sofie, z aromatycznym kubkiem gorącej herbaty w jednej ręce i z wyśmienitą książką w drugiej. Na fotelu obok rozłożył się Piernik z nierozłączną od jakiegoś czasu Mimi. Koty leżały wtulone w siebie i cicho oddychały pogrążone we śnie.

Całkowicie pochłonięta rozwiązywaniem zagadkowej śmierci młodego śmieciarza w jakiejś malutkiej miejscowości (od razu wyobraziłam sobie Sośnicę), ledwie usłyszałam,

że znów dzwoni telefon Rafała. Szybko jednak wróciłam do lektury, gdzie akcja zeszła właśnie na tematy kulinarne. Zastanawiałam się, kiedy ostatni raz jadłam ciasto z rabarbarem, ale nie mogłam sobie przypomnieć. Westchnęłam głęboko i wróciłam do lektury. Po chwili do pokoju wszedł Rafał i usiadł obok mnie.

- Możemy zmienić plany na popołudnie - powiedział. - Ula nie przyjedzie.

- Nie przyjedzie? - spytałam zawiedziona. - Dlaczego?

- Powiedziała, że idą z tym swoim chłopakiem na jakąś imprezę do jego znajomych.

- Szkoda. Miałam nadzieję, że się spotkamy. Już dawno jej nie widziałam.

-No szkoda, szkoda - powiedział zamyślony Rafał. -Wiesz, mam wrażenie, że coś jest nie tak. Nie wiem co, ale coś mi tu nie pasuje.

-Daj spokój. To normalne, że Ula chce spędzać czas ze swoim chłopakiem, zamiast nudzić się z bratem i jego dziewczyną.

-Ale ja jej proponowałem, żeby przyjechali razem. Wykręcała się, że Olek nie może, bo ma dużo pracy i musi to zrobić w weekend. A teraz nagle idą na imprezę?

- Jak to młodzi. Zrobi, co ma zrobić i wieczorem mogą wyskoczyć na imprezę.

- Może masz rację.

-Zadzwoń do niej później. Może da się namówić na spotkanie w Zabrze? Moglibyśmy w czwórkę iść do kina, co ty na to?

- Może być. Pogadaj z nią, może poznamy w końcu tego jej Olka.

-Okej. Widzę, że braciszek musi mieć wszystko pod kontrolą - roześmiałam się.

- Może nie wszystko, ale jeśli chodzi o dziewczyny, które kocham, to chciałbym być na bieżąco. - Cmoknął mnie w policzek z szelmowskim uśmiechem. - *A propos*, co czytasz?

Pokazałam mu okładkę książki.

- Jestem następny w kolejce. - Mrugnął do mnie. - Napijesz się kawy?

- Chętnie.

Odłożyłam książkę. Rafał podał mi rękę i objęci poszliśmy do kuchni.

Po południu kilka razy telefonowałam do Uli, ale nie odbierała. Pomyślałam, że pewnie ściszyła sygnał, żeby nie przeszkadzać Olkowi w pracy. Kiedy jednak wieczorem też nie odbierała i nie oddzwoniła, trochę zaczęłam się martwić. Wiem, że Ula jest dorosła i jeśli nawet nie odbiera telefonu przez pół dnia, to nic nie znaczy. Może po prostu gdzieś wyszła z Olkiem i zapomniała go zabrać. Może ma coś lepszego do robienia niż rozmowy z bratem i jego dziewczyną. Może ma dosyć ciągłej kontroli ze strony rodziców, Rafała, a teraz jeszcze mojej? Znałam jednak Ulę na tyle, żeby wiedzieć, że to jest raczej niemożliwe.

Zadzwoiła następnego dnia przed południem.

- Wydzwaniałaś wczoraj do mnie - powiedziała zamiast powitania.

- Cześć, Ula. Cieszę się, że dzwonisz. Martwiliśmy się o ciebie z Rafałem.

Cisza.

- Ula, jesteś tam?

- Jestem. - Usłyszałam zniecierpliwiony głos.

- Wszystko w porządku? -Tak.

- Nie jesteś zbyt rozmowna - zauważyłam. - Dlaczego nie odbierałaś telefonu?

- Czyja się muszę ze wszystkiego tłumaczyć?! - spytała zdenerwowana. - Mam już dość tego ciągłego bycia pod kloszem. Nie mam już dwunastu lat, jestem dorosła i nie muszę wam się spowiadać z tego, co robię, z kim i gdzie! Dajcie mi spokój!

- Przepraszam, nie to miałam na myśli. Po prostu martwiliśmy się.

- To już nie musicie się martwić! - przerwała mi. - Możesz powiedzieć Rafałowi i rodzicom, że wszystko jest w porządku. Mieszkam u Olka. Bardzo go kocham i chcę z nim być. I nie wydzwaniajcie do mnie ciągle. Jestem szczęśliwa - dodała cicho. - Nareszcie znalazłam kogoś, komu na mnie naprawdę zależy. Nie chcę tego spieprzyć. Zaufajcie mi, bardzo mi na tym zależy.

- To cudownie, że go kochasz i chcesz z nim być, ale nie uważasz, że można to załatwić inaczej? A w ogóle, gdzie on mieszka?

- Muszę kończyć - zakończyła rozmowę. - Odezwę się wkrótce. Pa.

Patrzyłam przez chwilę na telefon ze zdziwieniem. „Co się z nią dzieje? To zupełnie inna dziewczyna” - pomyślałam. „Ale najważniejsze, że jest szczęśliwa”.

Ula nie odezwała się przez następny dzień ani do nas, ani do rodziców. Rozumiem, że można stracić głowę dla faceta, ale żeby aż tak? Dziewczyna całą rodzinę ma w nosie, z nikim nie chce rozmawiać, bo się zakochała? Może to tylko taki początek zauroczenia? Mam nadzieję, że za jakiś czas wszystko wróci do normy. I że w końcu przedstawi tego wspaniałego mężczyznę.

Dzisiaj wróciłam do domu. Na szczęście już bez przygód z korkami na drodze i mrugającymi do mnie radiowozami.

Wieczorem wyszłam na swój balkonik, wypłam lampkę ulubionego czerwonego wina i popatrzyłam na park. Drzewa i krzewy już całkowicie wybudzone z zimowego snu, wystrojone w zielone, żółte lub białe sukienki wyglądały pięknie. Zamknęłam oczy i głęboko wciągnęłam powietrze. Po wiosennym delikatnym deszczu pachniało ziemią, trawą i kwiatami. Pomyślałam, że życie jest piękne, choć czasem przybiera ponure barwy. Najważniejsze, aby nawet w czerni potrafić odnaleźć plamkę błękitu.

Z zamyślenia wyrwał mnie dźwięk dzwonka do drzwi. Przechodząc przez pokój, spojrzałam na stary, mosiężny zegar babci Janeczki. Dochodziła dziewiąta wieczorem. Kiedy otworzyłam drzwi, zobaczyłam za nimi pana Antoniego.

-Proszę wejść - zachęciłam go, robiąc miejsce w drzwiach, aby wszedł do mieszkania.

- Nie przeszkadzam? Jest już późno.

- Nie, nie - uśmiechnęłam się. - Jeszcze nie ma dziewiątej. Na świecie jest zbyt pięknie, aby spać o tej godzinie. Szkoda życia na sen - roześmiałam się.

Wszedł do mojej kuchni i ciężko usiadł na krześle. Teraz wyglądał na jeszcze niższego i drobniejszego niż w rzeczywistości. Wstawiłam wodę, chcąc mu dać chwilę na zebranie myśli.

- Panie Antoni, co się stało? - spytałam po chwili. Spojrzał na mnie smutnymi oczami.

- Dzisiaj była u mnie Jadzia - powiedział.

Na początku nie skojarzyłam, zastanawiałam się, o jaką Jadzię chodzi.

- Jadzia? - zastanawiałam się na głos, gdy nagle mnie olśniło.

- Pana żona?! - spytałam głośniejsz. Może nie byłoby w tych odwiedzinach nic dziwnego, gdyby nie to, że żona pana Antoniego nie żyła już od wielu lat.

- Tak, moja Jadzia.

- Jak to: była u pana?

- Była w nocy. Wiem, jak to brzmi. - Popatrzył mi w oczy. - Pewnie po prostu mi się przyśniła, ale wyglądało to tak realnie. Rozmawiałem z nią, jakby siedziała na łóżku obok mnie. W ogóle się nie zmieniła. Nawet trwała miała na włosach, jakby przyszła prosto od fryzjera - uśmiechnął się przez łzy.

- Panie Antoni, to tylko sen. - Wzięłam jego ręce w dłonie i mocno ścisnęłam. - Wiem, że pan za nią tęskni. Ale to był sen.

- Sam już nie wiem. To było takie prawdziwe. Najpierw pomyślałem, że przyszła po mnie. Ucieszyłem się. Ale po-

tem rozmawialiśmy, nie pamiętam o czym. Była uśmiechnięta, spokojna. Naprawdę ją widziałem.

- Wierzę - powiedziałam cicho. W tym momencie zagwizdał czajnik, który wyrwał nas oboje z odrętwienia. Szybko wstałam i zalałam gorącą wodą herbatę. Postawiłam filiżankę przed panem Antonim.

- Dziękuję - powiedział nieco weselej. - Czasami czuję, że już pora dołączyć do mojej Jadzi - dodał cicho.

- Proszę tak nie mówić. Jeszcze wszystko przed panem. Mam pomysł. Może pojedzie pan ze mną w sobotę do Sośnicy?

Spojrzał na mnie niepewnie.

- Nie, nie. Nie chcę wam przeszkadzać, a poza tym co ja tam bym robił?

- Odpocznie pan od miasta. Pójdziemy na spacer do lasu, nad staw i nad rzekę.

- Ale co Rafał na to? Myślisz, że się zgodzi? Faktycznie, to nieładnie zapraszać gości do kogoś, nie

zapytawszy o zdanie. Miałam jednak nadzieję, że Rafał nie będzie miał nic przeciwko temu. A jeśli pomysł mu się nie spodoba, zawsze jest jeszcze Ola i jej ogromny dom. No cóż, następnym razem muszę pomyśleć, zanim coś palnę.

- Na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu - powiedziałam jednak wesoło i klasnęłam.

- Zastanowię się, ale dziękuję. Jesteś dla mnie taka dobra

- uśmiechnął się.

- A co tam u syna i córki? - spytałam, zmieniając temat.

- Pewnie czeka pan na nich z niecierpliwością?

-Tak, bardzo się cieszę, że przyjeżdżają. To też twoja zasługa.
- Pokiwał głową.

- E tam, żadna zasługa. - Przypomniałam sobie o wiadomościach wysyłanych do dzieci i wnuków pana Antoniego przez portale społecznościowe. - To zupełny przypadek.

Kiedy po jakimś czasie sąsiad poszedł do mieszkania, pomyślałam, że musi się czuć bardzo samotny. Mam nadzieję, że da się przekonać do tego wyjazdu. Zaraz zatelefonuję do Rafała i powiem mu o swoim pomysle. Oby mu się spodobał.

9 maja

Oj, dużo się wydarzyło przez ten tydzień. Ale zacznę od początku.

Moja przyjaciółka z pracy - Ania - jesienią wychodzi za mąż. Kilka dni temu przyszła do biblioteki w kiepskim nastroju.

- Ktoś tu chyba dzisiaj wstał lewą nogą - zagadnęłam, kiedy na chwilę zostałyśmy same.

- Daj spokój - powiedziała zrezygnowana. - Z tego naszego ślubu to chyba nic nie będzie. O wszystko się kłócimy, mamy zupełnie inne oczekiwania i pomysły.

- Nie przesadzaj, na pewno dojdziecie do porozumienia.

- No nie wiem. Ja chcę małe, kameralne przyjęcie - on wesele na sto pięćdziesiąt osób. Ja chcę sukienkę w kolorze ecru, a on chce, żeby była biała. Ja chcę bukiet z jesiennych kwiatów z dodatkiem jarzębiny i kolorowych liści

on z czerwonych róż. Ja chcę pojechać do kościoła białym, normalnym samochodem - on długą limuzyną. I tak by można było wymieniać bez końca. W niczym się nie zgadzamy.

- To normalne, każde z was ma swoją wizję ślubu. Ale wiesz, swoją drogą to dziwne, że on chce mieć bardzo wystawne, pokazowe wesele, a ty skromne i bez uduwnień. Powinno chyba być odwrotnie. - Mrugnęłam do niej okiem.

- Też mi się to wydaje dziwne. Znasz Adriana i wiesz, że on nie lubi pokazówek. Nie wiem, po co mu takie wielkie wesele. A niedługo trzeba zapraszać gości. Jeśli chodzi o zaproszenia, to też mamy zupełnie inny gust. Uwierzysz? Nagle się okazuje, że tak bardzo się różnimy.

-Najważniejsze, że macie już zarezerwowaną restaurację. Co do liczby gości możecie jeszcze negocjować, a reszta też się ułoży.

- Myślisz? - Zmarszczyła nos. - Czasem mam ochotę go walnąć w tę jego łepetynę z durnymi pomysłami i wziąć nogi za pas. Jak już teraz nie możemy dojść do porozumienia, to co będzie po ślubie?

- Przecież do tej pory prawie nigdy się nie kłóciliście. -I właśnie to mnie martwi.

- To po prostu gorączka przedślubna. Wszystko wróci do normy, zobaczysz.

- Mam nadzieję...

Drzwi biblioteki otworzyły się i weszła pani z dwoma małymi chłopcami. Na oko mogli mieć po pięć lat i na pewno byli bliźniakami.

- Dzień dobry - przywitali się wszyscy chórkami.
- Potrzebuję książkę o piratach - oznajmił jeden z nich.
- Ja też o piratach. Ale inną - powiedział drugi. Ich mama przewróciła oczami z rezygnacją. Uśmiechnęłyśmy się do niej, Ania poszła szukać książek o piratach (dwóch różnych), a ja zajęłam się zakładaniem kart małym czytelnikom.

Jakiś czas później usłyszałam odgłos mojej komórki. Spojrzałam na wyświetlacz - mama.

- Cześć, mammo, nie mogę teraz rozmawiać, jestem w pracy - powiedziałam szeptem.

- Wiem, córeczko, ale ta twoja podróż do Danii nie daje mi spokoju. Ciągłe o tym myślę. Może lepiej będzie, jak nie pojedziesz? Zapytaj przez telefon, o co chodzi, i już.

- Mammo, jadę tam tylko na trzy dni.

- Ale sama. Jak ty sobie poradzisz?

- Poradzę sobie, nie martw się. To tylko trzy dni - zaakcentowałam.

- Może polecę z tobą, skoro Rafał nie może. - Wyczułam w jej głosie pretensję.

- Mammo, wiesz dobrze, że Rafał poleciałby ze mną, gdyby tylko mógł. Jest jeszcze na to za słaby, nie chcę go niepotrzebnie narażać.

- To może zmienić termin lotu? Polecicie, jak Rafał będzie już na siłach.

- Mammo, muszę kończyć. Zadzwoń niedługo. Nie martw się, pa. - Nacisnęłam czerwoną słuchawkę, choć mama jeszcze coś chciała powiedzieć. „Jeszcze i to” - pomyślałam i wróciłam do pracy.

Nie chcę zapeszać, ale to chyba taka miłość do grobowej deski. Ja i Rafał. Miłość jak z książek Sparksa. Jesteśmy ze sobą krótko, ale mam wrażenie, jakbyśmy znali się od zawsze. Czytamy sobie w myślach, każde z nas wie, co drugie myśli albo powie w danej chwili. Trochę się tego boję. Do tej pory nie czułam nigdy czegoś takiego. To zespolenie dwóch dusz, dwóch ciał, dwóch serc. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby ta miłość nagle okazała się kolejnym oszustwem. Nie, to niemożliwe. Każdy zasługuje na prawdziwe uczucie. Ja też.

Rozmawiamy codziennie przez telefon albo przez Skype'a. Ostatnio martwi się o Ulę. Ja zresztą też. Bardzo polubiłam młodszą siostrę Rafała. Przez krótki okres znajomości mimo dużej różnicy wieku znalazłyśmy ze sobą wspólny język i naprawdę świetnie się dogadywałyśmy. Wszystko się zmieniło, kiedy poznała Olka. Było to zaraz po tym, jak Rafał wyszedł ze szpitala. Na początku Ula była tak podekscytowana tą znajomością, że o niczym innym nie mówiła. Mogła opowiadać o swoim nowym znajomym godzinami. Imponował jej wyglądem, szarmanckim zachowaniem i swoją pracą - jest kardiologiem. Wiele razy mówiła mi przez telefon o niesamowitych operacjach, jakie przeprowadza Olek. Była zakochana, szczęśliwa i optymistycznie nastawiona do całego świata. Mężczyzna natomiast albo był w pracy, albo zmęczony po dyżurze, więc nigdy nie mógł towarzyszyć Uli w jej wizytach u brata, rodziców czy chociażby spotkać się z nami gdzieś na mieście. Po kilku tygodniach coś zaczęło być nie tak. Telefony od Uli były już rzadkością, w domu też zaczęła być gościem. Kiedy wracała do rodziców, za-

zwyczaj od razu wchodziła do swojego pokoju, zamykała się w nim i wychodziła rano. Unikała rozmów z nimi, a kiedy zaczęli na nią coraz bardziej naciskać, wyprowadziła się z domu. Od czasu do czasu dzwoniła do nich, zapewniając, że wszystko jest w porządku. Telefony były coraz rzadsze, ale tłumaczyła, że wyjeżdża z Olkiem na sympozja do różnych miast, a do tego przecież studiuje. Ostatnio napisała tylko do Rafała krótkiego esemesa: „Jedziemy na kilka dni do Warszawy. Zadzwoń, jak wrócę”. Od tego czasu minęły cztery dni i do tej pory się nie odezwała.

Mam nadzieję, że jest po prostu zakochana, a wiadomo, że zakochani czasem są egoistami oraz nie myślą racjonalnie. Ważne, żeby była szczęśliwa, bo miłość to piękna rzecz, ale tylko wtedy, kiedy daje szczęście.

12 maja

Pan Antoni dał się namówić i razem pojechaliśmy w sobotę po południu do Sośnicy. Myślałam, że wyjedziemy rano, ale plany troszkę się pokrzyżowały. A zaczęło się w piątek w pracy, kiedy to Ania stwierdziła, że dosyć ma już myślenia o przygotowaniach do ślubu, dosyć rozmów z Adrianem na ten temat i musi się zrelaksować. Tak więc postanowiłyśmy, że wieczorem wybierzemy się do uroczej knajpki napić się wina, bo jak wiadomo, na wy-luzowanie najlepsze są wino, śpiew i dobre towarzystwo.

Ania zatelefonowała jeszcze do swojej siostry, Marty oraz do koleżanki ze studiów, Małgosi i tuż przed dwudzie-

stą spotkałyśmy się w Malibu. Ludzi było sporo, właściwie wszystkie stoliki już zajęte, ale jakimś cudem udało nam się znaleźć jeden mały gdzieś w kącie lokalu. Szybko pojawił się kelner, który z uśmiechem na ustach podał nam kartę z menu i równie szybko się oddalił.

-Ale fajny. - Marta odprowadziła go wzrokiem. - Szkoda, że jestem mężatką, chętnie bym go przygarnęła.

- Chyba za młody jak dla ciebie? Wygląda, jakby niedawno skończył gimnazjum, a ty, bez obrazy, czasów gimnazjalnych to już pewnie nawet nie pamiętasz. - Ania się roześmiała, puszczając do niej oko.

- Szczerze? Za moich czasów po podstawówce szło się od razu do ogólniaka albo technikum. O gimnazjach jeszcze nikt nie słyszał - skwitowała Marta.

-Dziewczyny, nie liczymy sobie lat, okej? Przyszłyśmy się zrelaksować, tak? No to czas na relaks - powiedziałam głośno, bo muzyka zagłuszała moje słowa.

Po kilku lampkach wina przyszedł czas na drinki. Każda z nas zamówiła sobie innego, żeby zobaczyć, jak wyglądają te z najwymyślniejszymi nazwami. No bo jak może wyglądać drink o nazwie „Gdzie jest moja lampucera” albo „Sprute kalesony”? Najpiękniejsze według mnie było jednak „Arbuzowe mojito”, których wypięłam trzy. Kiedy kolejny raz przyszedł do nas młody barman, a Marta z pewnymi już problemami artykulacyjnymi i wypiekami na twarzy złożyła zamówienie: „Proszę, «Seks na plaży»”, stwierdziłyśmy, że chyba pora wracać do domu. Zanim wezwałyśmy taksówkę, poszłam jeszcze do toalety. Na szczęście nie pomyliłam drzwi i weszłam do damskiej. Nieste-

ty, na tym moje sukcesy się skończyły, bo kiedy wstałam z muszli i próbowałam się ubrać, ze zgrozą stwierdziłam, że nie mam majtek. Na początku pomyślałam, że pewnie ich w ogóle nie założyłam, ale głos rozsądku mówił mi, że to niemożliwe, majtki na pewno wkładałam. Rozejrzałam się dookoła, ale nigdzie ich nie było. Siadłam znowu i postanowiłam na spokojnie przemyśleć sytuację. Buty były oba. Przez chwilę podziwiałam czarne półbuty na dość wysokim, prostokątnym obcasie, czarnym w brązowe cętki. Rajstopy też były. Rozsądnie stwierdziłam, że wobec tego zgubienie majtek jest niemożliwe i po prostu musiałam ich w ogóle nie włożyć. Kiedy już oswoiłam się z tą myślą i wstałam, podciągając rajstopy na gołą pupę, oraz kiedy obciągnęłam czerwoną sukienkę, zobaczyłam, że spod sukienki coś wystaje. Była to dolna część body, które - w tej chwili sobie przypomniałam - założyłam pod sukienkę, mając nadzieję, że ta część bielizny zatuszuje mój nieco wystający brzuch. Odetchnęłam z ulgą, że jednak nie jest tak źle ze mną i jeszcze pamiętam o zakładaniu wszystkich części garderoby, po czym zadowolona z siebie wyszłam z toalety.

Akurat przyjechała zamówiona taksówka, do której wgramoliłyśmy się wszystkie cztery.

- Dokąd jedziemy? - zapytał kierowca.

- Ja poproszę do Paryża - poprosiła Małgosia nieco piskliwym głosem.

- Nie, co ty - zgromiła ją Marta. - Jak szaleć, to szaleć. Jedźmy do Tokio. Albo na Hawaje.

Taksówkarz spojrzał na nas podejrzliwie.

- To dokąd w końcu?

- Najpierw na Zamkową - ucięłam dyskusję i ziewnęłam.

- Widzę, że wieczór się udał. - Kierowca pokiwał głową.

- Tak? - spytała Ania. - Nie pamiętam.

Przez całą drogę chichrałyśmy się, choć właściwie nie pamiętam z czego. Kiedy po kilkunastu minutach samochód zatrzymał się pod moim blokiem, wysiadłam, pożegnałam się z koleżankami i ruszyłam w stronę drzwi. Nie pamiętam, jak weszłam do mieszkania. Musiałam być bardzo zmęczona, bo zasnęłam w mojej wyjściowej czerwonej sukience, z jednym butem w ręce, drugim bohatercko trzymającym się na nodze. Obudziłam się przed południem z uporczywym bólem głowy. Na szczęście pan Antoni ma prawo jazdy, więc nie było problemu z naszą podróżą do Sośnicy. Jednak przez całą drogę siedziałam cicho, powtarzając sobie w duchu tysiąc razy, że już nigdy, przenigdy nie wypiję arburowego mojito.

Kiedy dojechaliśmy do Sośnicy, był już prawie wieczór. Po powitaniu z Rafałem, wypakowaniu niewielkiej torby pana Antoniego, wypiciu kawy na tarasie i krótkiej opowieści bez szczegółów o moim ostatnim wieczorze spędzonym z dziewczynami postanowiliśmy odwiedzić Malickich. Zadzwoiłam domofonem i zaraz zobaczyłam biegnącą w naszą stronę Julcię. Otworzyła nam furtkę i grzecznie zaprosiła do środka.

- Ślicznie wyglądasz, królewno - powiedziałam, biorąc ją na rękę.

- A ty tak średnio - stwierdziła Julcia i przyjrzała mi się badawczo.

- Ciocia miała trudną noc. - Rafał próbował się nie roześmiać. Ola z Piotrem siedzieli w altanie, a na grillu piekły się już kiełbaski. Chłopcy grali w piłkę, ale na chwilę przerwali, aby się z nami przywitać. Guzik z Pętelką podbiegły do nas wesoło, machając ogonami, i obwąchały dokładnie pana Antoniego.

-No nareszcie - powiedziała moja przyjaciółka, kiedy już z wszystkimi się przywitaliśmy. - Znowu korki?

- Nawet nie pytaj - odpowiedziałam ze skwaszoną miną.

- Julcia, przypilnuj z tatą i chłopakami kiełbasek, żeby się nie spaliły, a my pójdziemy z ciocią się przejść, dobrze? - zwróciła się do córki.

- Jasne - odpowiedziała mała zadowolona z towarzystwa dziadka Antosia - jak od jakiegoś czasu nazywała mojego sąsiada, oraz Rafała, który potrafił, jak nikt inny, znaleźć z nią wspólny język.

Kiedy odeszłyśmy kawałek od towarzystwa, opowiedziałam Oli o wczorajszej imprezie i moich dylematach związanych z pewną częścią garderoby. Ola śmiała się tak głośno, że wszyscy chłopcy - i ci starsi, i ci młodszy oraz Julcia - odwrócili się w naszą stronę.

- O matko, to musiała być naprawdę niezła impreza!

- Nawet mi nie przypominaj. Dzisiaj czuję się okropnie. Cały dzień boli mnie głowa, jestem do niczego.

- Nic się nie martw, przejdzie ci. Jutro będziesz jak nowo narodzona.

Kiedy wróciłyśmy do altanki, kiełbaski już były gotowe. Zjedliśmy wszystko z wielkim apetytem, rozmawialiśmy i śmialiśmy się do łez. Spojrzałam na pana Antoniego. Był taki radosny. Widziałam, że czuje się dobrze w naszym towarzystwie. Cieszyłam się, że chociaż na chwilę oderwał się od smutnych myśli.

Gdy już wieczorem leżeliśmy z Rafałem w łóżku, pokazał mi zdjęcie, które dostał przez telefon od Uli. Stała na tle pomnika syrenki uśmiechnięta, zadowolona. Pod zdjęciem napisała: „Pozdrowienia od warszawskich syrenek”.

- Widzisz, mówiłam, że wszystko jest w porządku. Zobacz, jest po prostu zakochana.

-A gdzie Olek?

- Robi zdjęcie - odpowiedziałam, ziewając.

- Chyba masz rację. Może faktycznie trochę przesadzam, ale po ostatnich przejściach zrobiłem się bardzo podejrzliwy.

- Bardzo. Spijmy już, jestem taka zmęczona - powiedziałam cicho i zamknęłam oczy.

- Kocham cię. - Pocałował mnie delikatnie. -Yyyyyh yyhh. - Próbowałam coś odpowiedzieć, ale usta i głos odmówiły mi posłuszeństwa.

- Dobranoc. - Przytulił się. Poczułam jego równy oddech na mojej szyi, po czym zapadłam w głęboki sen.

Obudziłam się wcześniej. Rafał jeszcze spał, więc postanowiłam go nie budzić i napić się porannej kawy na tarasie.

Włożyłam szlafrok i wymknęłam się z pokoju, zamknawszy cicho za sobą drzwi. Spojrzałam przez okno. Na tarasie siedział już pan Antoni, obok niego na ławeczce ułożyły się Piernik oraz Mimi.

- Dzień dobry - powiedziałam wesoło. - Nie może pan spać?

Pan Antoni wyrwał się z zamyślenia.

- A, to ty. Dzień dobry. Nie dziw się, że nie mogłem spać. Już nie pamiętam, kiedy ostatnio spałem poza swoim mieszkaniem. To było chyba jeszcze wtedy, kiedy żyła Jadzia. Potem już nigdzie nie wyjeżdżałem. To moja pierwsza noc poza domem od wielu lat.

Podeszłam do niego i położyłam mu rękę na ramieniu.

- Cieszę się, że dał się pan namówić.

- Ja też się cieszę.

- Wstawiłam wodę na kawę. Napijemy się razem?

- Bardzo chętnie.

Po chwili wróciłam z dwoma kubkami zaparzonej czarnej kawy. Jeden postawiłam na stoliku przed panem Antonim, drugi objęłam dłońmi. Usiadłam na drewnianym krześle i spojrzałam przed siebie. Na trawie widać było krople rosy, które błyszczały w świetle porannego słońca. Wokół słychać było trel ptaków, które uwijały się od samego rana, wesoło podśpiewując. Powietrze było rześkie, pachniało wiosną. Zapowiadał się piękny, słoneczny dzień.

- Dziękuję. - Pan Antoni przerwał ciszę.

- Za co? - zdziwiłam się. Spojrzył na mnie z uśmiechem.

- Za to, że patrzysz i widzisz. Za to, że słuchasz i słyszysz. Za to, że w tym egoistycznym, chaotycznym świecie dostrzegasz drugiego człowieka. Zabrałaś mnie tutaj, a nie znam drugiej osoby, która chciałaby spędzić weekend ze starym sąsiadem, w dodatku zrzędą. Bardzo tego potrzebowałem. Nawet sam nie zdawałem sobie z tego sprawy jak bardzo.

- Niech pan nie przesadza. Już dawno powinnam to zrobić. Od tego kiszenia się w małym mieszkanku można zwariować.

Spojrzał na mnie wielkimi oczami i pokiwał głową. - Jesteś dobrym dzieckiem, a dobro wraca. Pamiętaj o tym.

Kiedy kończyliśmy pić kawę, na taras przyszedł Rafał. Ubrany już w niebieski podkoszulek i czarne spodenki z zielonymi lamówkami, wydawał się wypoczęty i zadowolony. Na tacy niósł coś do jedzenia i dzbanek z herbatą.

-Zrobiłem śniadanie. Zapraszam na pyszne kanapki i twarożek ze szczypiorkiem.

Zapachniało nowalijkami i poczułam nagłe ssanie w żołądku.

- Pójdę po kubki na herbatę i talerzyki. - Poderwałam się z krzesła i pobiegłam do domu.

Przed południem poszliśmy na spacer. Oczywiście wybrali się z nami Maliccy, oprócz Benka, który w wolne nie rusza się z łóżka przed jedenastą, oraz bliźniaków, którzy rano pokłócili się i nie mieli ochoty na wspólny spacer. Szliśmy krętą leśną dróżką, śmiejąc się z opowieści pana Antoniego.

Okazał się duszą towarzystwa. Wokoło pachniało wiosną, świeżą ziemią, drzewami i mchem. Wdychałam ten zapach, rozkoszując się każdym haustem powietrza. Po jakimś czasie dróżka się zwężyła i szliśmy dwójkami. Nasz pochód prowadzili Piotr z panem Antonim, dyskutując o czymś z wielkim zapałem. Za nimi szedł Rafał z Julcią na barana, co małej nad wyraz się podobało. Ja z Olą zamykałyśmy barwny i głośny korowód. Widziałam, że Julcia rozglądała się z zaciekawieniem dookoła, paplając cały czas do Rafała.

- Wujek, a wiesz, że małe żabki rodzą się z takich małych jajeczek? - dopytywała.

-Naprawdę? Niemożliwe... - Rafał udawał zdziwionego. - I co, kura je wysiaduje jak kurczątko?

- No coś ty! - Mała się roześmiała. - Te jajeczka są przecież w wodzie. Pani Jola nam mówiła i pokazywała obrazki. A potem z tych jajeczek wykluwają się małe pijanki, a jak pijanki urosną, to są żabkami.

Parsknęłyśmy z Olą śmiechem.

- Pijanki, mówisz? - dopytywał Rafał. - No nieźle, człowiek uczy się całe życie.

Odwrócił się i puścił do nas oczko. Julcia zaś zapominając o „pijankach”, z zaciekawieniem obserwowała Guzika i Pętelkę, które zadowolone biegały dookoła nas, merdając ogonami.

- Mówiłaś, że Jaś i Staś się pokłócili? - spytałam z niedowierzaniem. - Chyba pierwszy raz w życiu. Przecież zawsze trzymali się razem. Co się stało?

- Zakochali się. W dodatku w tej samej dziewczynce -westchnęła moja przyjaciółka.

- Naprawdę? To już ten wiek, kiedy chłopcy się zakochują?
- Chyba tak. Niedawno do ich klasy przyszła nowa dziewczynka - Zosia - i od tamtej pory słyszę tylko „Zosia to, Zosia tamto...”. W każdym razie dzisiaj się do siebie nie odzywają, bo Staś stwierdził, że on pierwszy ją zobaczył, więc ma pierwszeństwo w umawianiu się z nią.

- Pierwszy ją zobaczył? - roześmiałam się.

- No właśnie tu jest problem, bo zobaczyli ją razem, jak weszła do klasy. Ale Staś mówi, że skoro siedzi bliżej drzwi, to na pewno wcześniej ją zobaczył niż Jaś - mówiła Ola z nieprzeniknioną miną.

- No to poważna sprawa. - Próbowałam się nie roześmiać. - I co teraz?

- Mam nadzieję, że szybko im przejdzie, bo chyba zwariuję.

Postanowiliśmy zawracać, kiedy zza zakrętu wyłoniła się niska, przygarbiona postać. Była to kobieta ubrana w grubą, pikowaną kurtkę, spod której wystawał kwiecisty fartuch. Na głowie miała wełnianą czapkę, a na nogach klapki.

- Dzień dobry - przywitała nas, kiedy się do nas zbliżyła.

- Dzień dobry - odpowiedzieliśmy zgodnym chórem.

- Ładną pogodę mamy tej zimy - stwierdziła, uśmiechając się do nas. - Na spacer w sam raz. Moja córka też poszła się przejść i szukam jej, szukam. Może ją widzieliście? Taka blondyneczka. Martusia ma na imię.

- Pani Szkudlarkowa, proszę wracać do domu - powiedziała spokojnie Ola. - Córka pewnie już tam jest i martwi się o panią.

- Tak? - zdziwiła się. - No tak. Może już wróciła. Muszę iść.
Kobieta odwróciła się i ruszyła wolno w kierunku domostw.
My w milczeniu podążyliśmy za nią.

- Kto to jest? - spytałam po chwili.

- To pani Szkudlarkowa. Dużo w życiu przeszła i psychika nie wytrzymała tego wszystkiego. Chcesz posłuchać?

-Mów.

- Jej historię opowiadała mi Magda. Działo się to jeszcze w latach osiemdziesiątych, jakoś tak pod koniec. Szkudlarkowie mieszkali tu od dawna, ona pracowała w sklepie, jej mąż był leśniczym, mieli jedną córkę Martę. Dobrze im się powodziło, ale któregoś dnia Szkudlarek nie wrócił do domu. Znaleźli go przywalonego przez drzewo, nie żył. Szkudlarkowa dalej pracowała w sklepie, a w tamtych czasach praca w sklepie to nie było byle co. Sprzedawczyni w spożywczaku była chyba jeszcze ważniejsza niż sołtys. Ale z córką miała problemy. Marta miała może czternaście lat, kiedy zaczęła uciekać z domu. Nie chodziła do szkoły, uganiała się za chłopakami. W końcu ludzie gadali, że spotyka się z kierowcami na parkingach. Nie muszę ci mówić po co?

- Domyślam się.

- Szkudlarkowa prosiła, błagała, ale na nic się to zdało. W końcu Marta zaszła w ciążę. Miała szesnaście lat, jak urodziła dziecko. Na początku się nim zajmowała, ale szybko jej się to znudziło, zostawiła małego chłopca i gdzieś wyjechała. Szkudlarkowa wynajęła kogoś do opieki nad wnukiem i jakoś to było. Ale rok później, zimą

ze stawu wyłowili dziewczynę. Była to Marta. Nie wiadomo dokładnie, co się stało. Czy to było samobójstwo, czy nie... Nie wyjaśnili tego. Podobno znów była w ciąży. Ale to tylko plotki. Pani Szkudlarkowa wtedy się załamała. Przestała chodzić do pracy, pieniędzy na opiekunkę szybko zabrakło. Nikt jej wtedy nie pomógł. Parę miesięcy później znaleźli ją w domu skrajnie wyczerpaną, dziecko nie żyło. Chłopiec umarł z zimna, głodu i choroby. Szkudlarkowa nie wiedziała w ogóle, co się dookoła niej dzieje. Żyła w swoim świecie.

- Biedna kobieta. Dlaczego nikt jej nie pomógł?

-Nie wiem. Może winna jest ludzka zawiść? Całe życie wszyscy jej zazdrościli, może dlatego nikt jej nie pomógł. Może ludzie chcieli, żeby na własnej skórze się przekonała, jak to jest, kiedy nic się nie ma i wszystko dookoła się wali.

- Myślisz, że ludzie są zdolni do czegoś takiego?

- Julia, ludzie są zdolni do wszystkiego.

-A teraz? Przecież minęło tyle lat. Dlaczego nie jest w szpitalu albo w ośrodku?

-Wszyscy się tu do niej przyzwyczaili. Uważają ją za niegroźną wariatkę, która od czasu do czasu chodzi po lesie i szuka swojej córki.

- Jak sama sobie radzi?

-Zaraz po tym wszystkim przeprowadziła się do niej siostra. Mieszkają razem od wielu lat.

Długo nie mogłam pozbyć się ponurego nastroju. Było mi żal pani Szkudlarkowej, jej córki i małego chłopca, któremu nikt nie pomógł.

Kiedy wieczorem weszliśmy z panem Antonim do bloku, złapał mnie za rękę, ścisnął mocno i powiedział:

- Dziękuję.

- Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś pojedzie pan ze mną do Sośnicy.

- Bardzo bym chciał. - Pożegnaliśmy się i poczłapałam na górę.

W nocy miałam koszmary. Śniło mi się, że stoję nad brzegiem niewielkiego jeziora, w którym jest mętna, brudna woda. Spojrzałam uważniej - niedaleko brzegu zobaczyłam pływające ciało, którego włosy zaplątały się w sitowie. Chciałam tam podejść i rozplątać te włosy, ale nie mogłam się ruszyć. Chciałam krzyczeć, ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Nagle za sobą usłyszałam jakiś szelest. Odwróciłam się. Zobaczyłam małego chłopca, który wpatrywał się we mnie wielkimi oczami pełnymi wyrzutu i nienawiści. Obudziłam się zrana z potem.

16 maja

Wieczór. Za oknem szaleje prawdziwa wiosenna burza. Siedzę na fotelu przy oknie, wtulona w ciepły, kraciasty koc. Zafascynowana przyglądam się widowisku, które przygotowała dla nas przyroda. Złote błyskawice raz za razem przeszywają czarne niebo, dając znak grzmotom, które zaraz potem obwieszczają światu swoją moc i potęgę. Deszcz mocno dudni o parapet, szyby zlane wodą wyglądają jak bulaje na statku, który w czasie sztormu co najmniej o sile

dziesięciu w skali Beauforta wyplął na pełne morze. Poza odgłosami burzy i wszechobecnego wiatru nie słycać nic. Na ulicach pusto i ciemno. Mocniej wtulam się w koc, trzymając w ręku kubek z gorącą herbatą.

Wczoraj był u mnie Rafał. Przyjechał do szpitala na wizytę kontrolną. Na szczęście wszystko jest w porządku, czuje się coraz lepiej. Mam nadzieję, że niedługo wszyscy zapomnimy o tym zdarzeniu z Korelem. Szkoda tylko, że ślad po nim zaginął i dalej nie wiadomo, gdzie teraz przebywa. Rafała czeka jeszcze rozprawa w sądzie. Będzie zeznawał w charakterze świadka. Ale to dopiero za jakiś czas. Na razie staramy się o tym nie myśleć.

Dzisiaj dzwoniła do mnie Ania. Jest na zwolnieniu lekarskim.

- Julia, ja już nie mam sił do tego całego ślubu - żaliła się przez telefon. - Wyobraź sobie, że Adrian chce, żeby wesele było dwudniowe. A przecież już dawno ustaliliśmy, że to będzie tylko jeden dzień. A teraz stwierdził, że to nie wypada.

-Naprawdę? Nie poznaję go. Przecież to on wpadł na ten pomysł.

- No właśnie. A teraz nie wiem, co się dzieje. I do tego wszystkiego jakoś dziwnie się zachowuje. Nie można z nim normalnie porozmawiać. Jest ciągle zdenerwowany, albo się w ogóle nie odzywa, albo wyjeżdża z takimi pomysłami, że głowa mała. A właśnie! Dzisiaj rano stwierdził, że wynajmiemy klauna, żeby rozweselał towarzystwo. Uwierzysz?!

- Może żartował? - roześmiałam się.

- Nie sędzę. Wiesz, czasami myślę, że on nie chce w ogóle tego ślubu. Robi wszystko, żeby mnie zniechęcić.

- Daj spokój. On cię kocha, widać to przecież. Jest tym zdenerwowany tak samo jak ty. Wszystko się ułoży, zobaczysz.

-No nie wiem. Coraz bardziej mnie denerwuje. On, ta jego mamuśka i kochana siostrunia. Tylko ojciec jest „normalny” w całym tym towarzystwie.

- Mamuśka?

- Niby jest miła dla mnie, tui, tui, tui i takie tam, ale jakoś nie mam do niej przekonania. Ma coś takiego w zachowaniu, że nie do końca jej ufam.

- Mam pomysł. - Coś zaświtało mi w głowie. - Wyjedźcie gdzieś razem z Adrianem choćby na dwa dni. Zrób mu niespodziankę na weekend. Nie musi być daleko, ale tak, żebyście zapomnieli na chwilę o całych tych przygotowaniach. I najlepiej, aby tam nie było zasięgu, żeby nikt wam nie przeszkadzał. Co ty na to?

- Sama nie wiem. Jestem na niego taka zła, że mam go naprawdę dosyć.

- Spróbuj. Przyda wam się chwila oddechu.

- Przemyślę to - westchnęła Ania. - Mów, co u ciebie, bo ja tylko o sobie i o ślubie. Jak przygotowania do podróży?

- Nie jest to wielka podróż. Tylko trzy dni, więc nie ma za wiele do przygotowania.

- Za tydzień o tej porze będziesz już w Danii.

- Tak - westchnęłam. - I mam nadzieję, że dowiem się w końcu, o co chodzi.

- Oby to były same dobre informacje. Pamiętaj, jak dostaniesz wielki spadek, to wyprowadzamy się razem na Hawaje albo Kanary. Zostawiamy naszych gamoni i jedziemy się zabawić. A może zostaniemy na zawsze, jak nam się spodoba.

- „Gamoni”? Wypraszam sobie. Rafał nie jest żadnym gamoniem. - Udawałam obrażoną.

- Okej, okej. Ale co do Adriana chyba nie masz wątpliwości - śmiała się moja koleżanka.

- Nie przesadzaj. Jest całkiem do rzeczy, tylko teraz trochę błądzi... Poszukaj w Internecie fajnego wyjazdu. Zobaczysz, będzie dobrze. Jak chcesz, możecie jechać do Świnoujścia, do mamy i Mariana. O tej porze roku na pewno mają jakiś wolny pokój. Zadzwoń i podpytam.

- Może faktycznie wyjazd nam się przyda. Ale wolałabym gdzieś bliżej. Dziękuję, pa, pa.

- Pa. - Pożegnałam się i odłożyłam telefon.

„Oj, Adrian, Adrian... Nie schrzań tego” - pomyślałam.

22 maja

Dziś pół dnia spędziłam w sklepie na zakupach. W ostatnim momencie przyszło mi do głowy, że skoro jadę poza granice naszego kraju, muszę przecież godnie go reprezentować. Wytarte stare dzinsy i bawełniane koszulki to chyba niezbyt wymyślny strój na sentymentalną podróż do kraju, z którego pochodzi mój dziadek i w którym jakiś czas żyła moja babcia. Nie lubię biegać po sklepach, przymierzalniach

i uczestniczyć w tym modowo-komercyjnym obłędzie, ale od czasu do czasu trzeba schować do szafy swoje uprzedzenia. Zwłaszcza gdy w tej szafie jest prawie pusto... Poszczyło mi się na tyle, że kupiłam parę czarnych wizytowych spodni, dwie lniane bluzeczki (mam nadzieję, że w hotelu będzie żelazko) oraz niebieską sukienkę z krótkim rękawkiem. Po krótkim namyśle dokupiłam granatowy zakieciak i eleganckie półbuty na obcasie. Kto wie? Może pójdę na uroczystą kolację? Oczywiście nie zapomniałam o nowych piżamach. Na myśl o mojej starej koszuli nocnej w kropki roześmiałam się serdecznie do wielkiego lustra w przymierzalni. Kupiłam też kilka kosmetyków, a ponieważ zabieram tylko bagaż podręczny, mydełko, pasta do zębów, lakier, perfumy i takie tam muszą być w odpowiednim rozmiarze, a właściwie o odpowiedniej objętości. Pakowanie zajęło mi godzinkę, a czy pamiętałam o wszystkim - okaże się na miejscu.

Za chwilę przyjedzie Rafał. Uparł się, że rano (a raczej w środku nocy) zawiezie mnie na lotnisko do Pyrzowic. Udało mi się znaleźć lot z przesiadką w Warszawie, a na miejscu będę w niecałe cztery godziny.

O, słyszę dzwonek do drzwi. To pewnie mój ukochany. Biegnę otworzyć!

23 maja

Na lotnisku w Kopenhadze byłam już około dziewiątej rano. Ponieważ nie czekałam na bagaż, szybko wyszłam

z terminala i wraz z tłumem podróżnych znalazłam się w hali przylotów. „Jestem! Witaj, Kopenhago, witaj, kraju mojego dziadka!” - pomyślałam.

Rozejrzałam się dookoła, szukając wyjścia na zewnątrz. Nagle, w gronie osób witających, zobaczyłam niewielką tabliczkę z moim imieniem i nazwiskiem. „Julia Paziewska” - przeczytałam i odetchnęłam z ulgą. Podeszłam do wysokiego mężczyzny w granatowym uniformie i z uśmiechem na twarzy przywitałam się, podając rękę:

- Dzień dobry, nazywam się Julia Paziewska.

- *Good morning* - odpowiedział mężczyzna po angielsku, co uzmysłowiło mi, że nie jestem w Polsce i muszę przestawić się na język obcy.

- *Follow me, madame.*

Zabrał ode mnie ciemnozieloną walizkę z bagażem podręcznym i ruszył w kierunku wyjścia. Przeciskając się pomiędzy ludźmi, podążyłam za nim. Starłam się nie zgubić jego i mojej walizeczki.

Po chwili siedziałam w eleganckim czarnym samochodzie i rozglądałam się przez przyciemnione szyby. Kiedy wyjechaliśmy z terenu lotniska, zadzwonił telefon. Kierowca odebrał i podał mi słuchawkę.

- *Please, you have a call* - powiedział.

- Dzień dobry. - Usłyszałam miły męski głos kogoś, kto posługiwał się poprawną polszczyzną. - Kierowca zawiezie panią do hotelu. Proszę odpocząć po podróży. O osiemnastej mój klient będzie oczekiwał na panią w swoim biurze. Proszę zejść do recepcji pół godziny wcześniej. Kierowca będzie na panią czekał i zawiezie na spotkanie.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, mężczyzna się rozłączył. Siedziałam na tylnym siedzeniu jak sparaliżowana. Czułam się jak bohaterka serialu albo książki.

„O co tu chodzi?” - myślałam. Zaczynałam żałować, że chciałam przylecieć tu sama. Mogłam zabrać ze sobą mamę albo chociaż Irenkę. Pograżona w myślach nie zauważyłam, że kierowca zatrzymał się przed hotelem w samym centrum miasta. Wsiadł i otworzył mi drzwi.

- To nie mój hotel - powiedziałam ze zdziwieniem, nie ruszając się.

- *All is done and paid. Please don 't worry* — powiedział po angielsku.

- Proszę mnie zawieźć do mojego hotelu. Jeśli nie, pojedę tam sama - odpowiedziałam szorstkim tonem i podałam mu kartkę z adresem.

Kierowca westchnął i wyciągnął komórkę. Po krótkiej rozmowie wsiadł do samochodu i ruszył. Kilkanaście minut później stanęliśmy przed ślicznym hostelem Bedwood, jak rozpoznałam ze zdjęć internetowych. Wsiadłam z samochodu, zabrałam walizczkę od oniemiałego kierowcy i weszłam do środka. Poczułam się dziwnie błogo i swojsko, kiedy patrzyłam na wszechobecne drewno przypominające wnętrza góralskich hotelików w polskich Tatrach.

Przywitała mnie urocza, ruda dziewczyna z wytatuowaną malutką ważką na ramieniu. Po dopełnieniu formalności pokazała mi pokój i życzyła miłego pobytu. Kiedy zamknęłam za sobą drzwi, poczułam ulgę. Wzięłam szybki prysznic i zatelefonowałam do Rafała.

-Jestem na miejscu - powiedziałam po krótkim powitaniu.

- Wszystko w porządku? Masz dziwny głos.

Po rozmowie z Rafałem trochę się uspokoiłam. Ubrałam się i wyszłam na miasto, by coś zjeść, bo zaczynało burczeć mi w brzuchu. Sympatyczna recepcjonistka wskazała mi drogę na nabrzeże. Kilka minut później byłam nad kanałem portowym Nyhavn. Kolorowe kamieniczki z ogromną liczbą kawiarenek, barów i restauracji oraz mnóstwo pływających łodzi, barek sprawiły, że stanęłam zauroczona tym miejscem od pierwszego spojrzenia. Stałam tak chwilę, chłonąc wzrokiem każdy metr tego niecodziennego widowiska. Tłum ludzi mówiących w różnych językach, o różnej barwie skóry i różnorodnym ubiorze otaczał mnie z każdej strony. Poddałam się mu i wraz z nim ruszyłam przed siebie, rozglądając się na boki. Zewsząd słychać było gwar i radosną muzykę, co stwarzało nietuzinkową wręcz atmosferę. Uliczni malarze, grajkowie, kolorowe stragany z pamiątkami zachwyciły mnie do tego stopnia, że zupełnie zapomniałam o tym, iż byłam głodna. Zapomniałam też, że czas szybko mija i wkrótce mam mieć spotkanie, na które czekałam od dawna. Spojrzałam na zegarek. Była trzecia po południu. Rozejrzałam się za wolnym miejscem. Choć barów wokoło była niezliczona liczba, znalezienie wolnego miejsca graniczyło z cudem. Udało mi się w końcu wypatrzyć stolicek w rogu niewielkiej restauracji. Zamówiłam dużą sałatkę, wodę i kawę. Szybko zjadłam ogromną porcję przyniesioną przez przystojnego kelnera. Cały czas przyglądałam się

z zachwytem cudownemu miejscu, w jakim byłam. Żałowałam, że nie ma ze mną Rafała.

Zapłaciłam, zostawiwszy niewielki napiwek, i pobiegłam w stronę hostelu. Odświeżyłam się, włożyłam czarne spodnie i kremową bluzeczkę. Poprawiłam makijaż i uczesałam włosy. Zaraz przyjedzie po mnie kierowca i mam nadzieję, że w końcu poznam zagadkowego mężczyznę, który uchyli przede mną rąbka tajemnicy. Po to tu w końcu przyjechałam!

Jest druga w nocy. Nie mogę spać. To, czego się dowiedziałam dzisiaj, spowodowało, że moje życie rozprysło się na tysiąc kawałków. Chciałabym móc przytulić się do babci Janeczki, powiedzieć, jak bardzo ją kocham. Tęsknię za jej uśmiechem, spokojnym głosem, rozsądnym spojrzeniem na świat, za jej przepyszными pierogami z serem... Może ona potrafiłaby mi doradzić, podpowiedzieć, co zrobić. Choć decyzję już podjęłam. I mam przeczucie, że takiego wyboru chciałaby także moja babcia.

Ale zacznę od początku. Tuż przed osiemnastą kierowca zatrzymał pojazd przed wieżowcem w drugiej części miasta. Przed wejściem stał mężczyzna nienagannie ubrany: granatowy garnitur i błyszczące buty. Kiedy zobaczył zatrzymujące się auto, ruszył w naszą stronę. Spojrzałam przelotnie na swoje czarne spodnie z sieciówki i kremową bluzeczkę. Nabrałam głęboko powietrza i wysiadłam z samochodu.

- Jan Kubik - przedstawił się, podając mi rękę. - Jestem pełnomocnikiem pana Larsena. Zapraszam.

„Polak?” - przemknęło mi przez myśl, ale nie odważyłam się zapytać.

Weszłam do środka ogromnego budynku. Wszędzie widać było wykwinny gust projektanta wewnątrz. Szybko ogarnęłam wzrokiem holi. „Nieźle pieniądze musi mieć ten cały Larsen, skoro stać go na wynajęcie biura w takim budynku” - zdążyłam pomyśleć, zanim wsiedliśmy do nowoczesnej, eleganckiej windy. Wysiedliśmy na dziesiątym piętrze.

- Proszę za mną - zachęcił Kubik. Szedł szybko w stronę jedynych na tym piętrze drzwi, które udało mi się dostrzec. Wszedł bez pukania i stanął, czekając, aż wejde.

W środku panował półmrok. Rozejrzałam się uważnie. Kątem oka zauważyłam przysłonięte roletami okna. W jednym z kątów dużego pomieszczenia zobaczyłam zaświeconą lampkę. Przyjrzałam się uważniej i dopiero wtedy spostrzegłam siedzącą obok postać.

- *Hello* - powiedziałam. Mój wzrok zaczął przyzwyczajać się do panującego półmroku.

- Dzień dobry. - Usłyszałam po chwili chrapowaty głos mężczyzny.

„Kolejny Polak?” - zdziwiłam się.

- Proszę, zaświeć lampy i zostaw nas samych - zwrócił się do mężczyzny stojącego obok mnie. Ten posłusznie wykonał polecenie i wyszedł z pokoju, cicho zamknąwszy za sobą drzwi.

- Usiądź, proszę - zwrócił się do mnie mężczyzna.

Podeszłam. Dopiero teraz zauważyłam, że siedzi na wózku inwalidzkim. Głowa mężczyzny lekko chyliła się na lewą stronę, a cienkie rurki przypinane do ręki i nosa robiły przygnębiające wrażenie.

- Nazywam się Kristian Larsen. Byłem znajomym twojej babci Janiny. Pewnie nigdy nie słyszałaś o mnie?

-Nie.

- Twoja babcia przyjechała razem z mężem do Danii zaraz po wojnie. Poznaliśmy się w małej miejscowości, skąd pochodzę.

- Jak to: z mężem? Przecież babcia wyszła za mąż za dziadka kilka lat po wojnie. Poznali się tutaj, w Danii.

Mężczyzna odchrząknął.

- Widzisz, moja droga, to nie było zupełnie tak - powiedział po chwili, ciężko oddychając.

- Jak to? - Zdziwiona, nie wiedziałam, co powiedzieć.

-Zaprosiłem ciebie tutaj, ponieważ chcę się wyświadczyć. Jestem już stary. Popatrz na mnie. Niewiele życia mi zostało. Na stare lata odezwały się demony, z którymi żyłem przez lata. One nie dają mi spać. Chcę uzyskać przebaczenie i tylko ty możesz mi je dać.

- Dlaczego ja?

- Twoja babcia nie żyje. A ty jesteś jej kopią z lat młodości. Te same rysy twarzy, te same oczy, włosy. Kiedy zobaczyłem ciebie pierwszy raz dziesięć lat temu, myślałem, że postradałem zmysły. Jesteś dokładnie taka jak ona. Nawet charakter macie taki sam.

- Skąd pan wie? Przecież mnie pan nie zna. Nie spotkaliśmy się nigdy wcześniej.

Kristian Larsen odetchnął głęboko i zamilkł. Już myślałam, że coś mu się stało, kiedy odezwał się znowu.

- Nie mam siły, żeby ci to wszystko opowiedzieć. Napisałem list. Przeczytasz go, a potem zdecydujesz, co dalej.

-Co dalej?! - Nie ukrywałam zaskoczenia. - Przecież ja pana w ogóle nie znam. Babcia nigdy o panu nie mówiła. Zresztą niewiele mówiła o swoim pobycie tutaj. Dziadek zmarł krótko po ich powrocie do Polski i ten temat nigdy nie był w rodzinie poruszany. Skoro babcia nie chciała o tym mówić, to nie wiem, czy mam prawo grzebać w jej przeszłości.

-Wszystko zrozumiesz, jak przeczytasz list. Przecież po to tu przyjechałaś, prawda? Żeby dowiedzieć się czegoś więcej o swojej babci, o swojej przeszłości.

„Ma rację” - pomyślałam nieco uspokojona.

- Dobrze, zgadzam się. Przeczytam ten list.

Mężczyzna nacisnął guziczek. Do gabinetu wszedł Kubik z teczką w ręku. Podał mi ją i skierował się w stronę Larsena.

- Proszę to spokojnie przeczytać. Wszystko jest napisane w języku polskim. Zabiorę pana Larsena, żeby odpoczął, a pani w tym czasie zapozna się z treścią. Zaraz sekretarka przyniesie kawę. Życzy sobie pani coś jeszcze?

- Nie, dziękuję - odpowiedziałam zmieszana.

Kubik wywiózł przysypiającego Larsena z pomieszczenia, zostawiwszy mnie samą z białą teczką. Przez chwilę siedziałam bez ruchu, starając się uporządkować w głowie to, co wydarzyło się przed chwilą. Po raz kolejny poczułam się jak bohaterka książki. Przypomniałam sobie Heaven Casteel oraz posiadłość męża jej zmarłej matki.

„Julia, weź się w garść!” - upomniałam siebie w myślach. „Nie myśl teraz o bajkach! Przeczytaj, co masz przeczytać, i zmykaj stąd”.

Otworzyłam teczkę i wyciągnęłam z niej zapisane na komputerze kartki. Zaczęłam czytać.

Kopenhaga, 2 kwietnia 2016

Droga Julio!

Skoro czytasz ten list, to znaczy, że przyjąłeś zaproszenie starego człowieka, który przed śmiercią postanowił wyznać swoje grzechy. Jestem u schyłku życia i chcę powiedzieć ci to, czego nigdy nikomu nie mówiłem. Może dzięki tej spowiedzi odzyskam spokój, a po śmierci moja dusza nie będzie skazana na wieczne potępienie.

Miałem niewiele ponad dwadzieścia lat, kiedy po raz pierwszy spotkałem twoją babcię Janinę. Emigrantka z Polski, jakich wtedy w Danii było wiele, ale mnie od razu się spodobała. Lekko falujące ciemne włosy, niesfornie opadające na twarz kosmyki, które ciągle poprawiała, piękny uśmiech i te iskiereki w oczach. Zakochałem się w niej. To była moja pierwsza prawdziwa miłość. Był jeden problem — miała męża. Wywnioskowałem, że pobrali się tuż przed wyjazdem z kraju. Michał kochał Jankę, a ona jego. Można to było zauważyć w każdym ich słowie, każdym geście. Nie mogłem tego znieść. Wyobrażałem sobie, jak nocami się kochają, i z dnia na dzień byłem coraz bardziej zazdrosny. W tym czasie Janka miała przyjaciółkę - Helenę, też Polkę. Zawsze

były blisko siebie, razem pracowały u mojego ojca. Zacząłem do nich coraz częściej podchodzić, rozmawiać z nimi. Dziewczyny uczyły mnie mówić po polsku - stąd tak dobrze znam ten język - a ja twoją babcię po duńsku. Spędzałem z nimi większość czasu. Były to moje najwspanialsze miesiące w życiu. W końcu doszło do tego, że wszyscy myśleli, że kocham się w Helence. Nie wyprowadzałam ich z błędu. To pozwoliło mi na przebywanie w towarzystwie Janki bez niepotrzebnych niedomówień.

Mijały dni, a ja coraz bardziej byłem zafascynowany twoją babcią. Kochałem ją, choć teraz wiem, że była to zła miłość. Pewnego dnia dowiedziałem się, że Janka i Michał spodziewają się dziecka. To był dla mnie cios. Wtedy zrozumiałem, że Janka nigdy nie będzie moja. Nie mogłem patrzeć na szczęście przyszłych rodziców. Chciałem wyjechać, ale nie wyobrażałem sobie życia bez codziennych spotkań z Janką. Dusiłem się. Wymyśliłem plan. Pomyślałem, że jeśli Michała nie będzie, Janka przejrzy w końcu na oczy i zrozumie, że bardzo ją kocham. Nawet dziecko byłem w stanie uznać za swoje. Byli biedni, wynajmowali jakąś nędzną chatkę. Michał nic więcej nie mógł zaoferować Jance i dziecku. Ja mogłem. Byłem synem bogatego gospodarza, sam też już zacząłem robić interesy. Miałem do tego smykałkę. Chciałem za wszelką cenę, aby Janka należała do mnie. W końcu pewnego zimowego wieczora nadarzyła się okazja, żeby raz na zawsze coś z tym zrobić. Zapłaciłem kilku miejscowym pijaczkom. Pobili Michała do nieprzytomności. Zmarł przed drzwiami domu, w którym mieszkał, zanim ktokolwiek zdążył mu pomóc.

Ale nie przewidziałem wszystkiego. Janka poroniła, trafiła do szpitala, nie mogła po tych przejściach dojść do siebie. Przychodziłem do niej często, ale nie chciała ze mną rozmawiać. Kiedy powiedziałem, że ją kocham, wygoniła mnie. Nie chciała mnie widzieć. Kiedy wyszła ze szpitala, znów ją odwiedziłem. Jeszcze raz zaproponowałem wspólne życie w dostatku, ale nie chciała. Nakrzyczała na mnie, powiedziała, że kocha tylko Michała i nic tego nie zmieni. Kazała mi się wynosić. Wtedy myślałem, że jest solidarna z Heleną i nie chce jej zrobić przykrości, wychodząc za mnie. Wściekłem się. Wybiegłem, trzasnąwszy drzwiami, złorzecząc. Niedługo po tym Janka wyjechała, ja na złość wszystkim ożeniłem się z Heleną. Modliłem się o to, żeby Janka była do końca życia nieszczęśliwa. Chciałem, żeby przyszła do mnie, prosząc o pomoc, o wybaczenie. Heleny nigdy nie kochałem, winiłem ją za to, że Janka mnie odrzuciła. Kiedyś nawet jej to wykrzychałem prosto w twarz. Długo płakała, ale nie potrafiła mnie opuścić. Kochała mnie mimo wszystko. A ja coraz bardziej jej nienawidziłem. Miałem wiele kochanek, ale przy żadnej nie czułem ukojenia. W międzyczasie przejąłem gospodarstwo ojca. Zaczęłem inwestować na giełdzie. Poszczyliło mi się. Potem były lata dobrych interesów, zyskownych układów. Miałem coraz więcej pieniędzy, zacząłem się liczyć w świecie biznesu nie tylko w kraju, ale i za granicą. Ale jak to się mówi: Kto ma szczęście w miłości, ten nie ma szczęścia w interesach. U mnie było odwrotnie. Chociaż Helena kochała mnie i wybaczała mi wszystkie wybryki, ja coraz bardziej oddalałem się od niej.

Ale stało się, że wiele lat po ślubie Helena zaszła w ciążę. Myślałem, że dziecko zmieni moje nastawienie do świata i do niej. Urodził się syn, ja się ustatkowałem i chętnie przebywałem w domu. Wszystko się ułożyło. Ale do czasu. Kiedy Adam miał sześć lat, spadł z konia. Był mały, nie miał szans na przeżycie. Bardzo wtedy cierpiałem. Przypomniałem sobie Jankę, która też straciła swoje dziecko. Przeze mnie.

Wtedy zacząłem jej szukać. Przez detektywów znalazłem ją w Polsce. Jej drugi mąż już wtedy nie żył. Napisałem do niej. Chciałem zacząć wszystko od nowa. Obiecywałem miłość, pieniądze. Nie odpisała. Odrzuciła mnie po raz kolejny. Niestety, nie zauważyłem, że w tym czasie moja żona zupełnie straciła chęć do życia. Adam, który był jej oczkiem w głowie, tak nagle odszedł z tego świata. Ja jej nie pomogłem w tym trudnym okresie. Widziałem tylko czubek swojego nosa. Helena miała depresję. Przedawkowała lekarstwa i rok po śmierci syna pochowałem też ją.

Po tym wszystkim jeszcze bardziej rzuciłem się w wir pracy. Spółki, dalsze inwestycje, dochodowe umowy — tym żyłem przez wiele lat. Ciągle jednak otrzymywałem informacje o twojej babci i jej rodzinie. Zaufany detektyw z Polski raz w roku zdawał mi sprawozdanie, przesyłał zdjęcia najpierw twojej matki, wujka, potem twoje i twojej kuzynki. A ja żyłem sam. Każdą kobietę, którą spotykałem, porównywałem do twojej babci. Żadna nie mogła się z nią równać.

Kiedy dziesięć lat temu zobaczyłem twoje zdjęcie zrobione gdzieś na ulicy, zamarłem z wrażenia. Myślałem, że

moja głowa płata mi figla. Wyglądałaś dokładnie tak jak Janka, kiedy ją poznałem. Przez wiele lat próbowałem do ciebie napisać, zadzwonić. Chciałem cię poznać, ale nie miałem odwagi. Dopiero śmierć Janki sprawiła, że coraz bardziej zacząłem myśleć o swoim życiu. O tym, że przeze mnie cierpiało tyle osób. Przez moją fascynację zginął człowiek, który naprawdę kochał swoją żonę. Zabiłem ich dziecko. W pewnym sensie zabiłem też swoją żonę. Moje dziecko również zginęło. Za dużo tych trupów. Jestem mordercą, zrozumiałem to dopiero teraz. I nie wiem, co mam zrobić, żeby uzyskać przebaczenie. Nie jestem katolikiem, nie wierzę w niebo i piekło. Ale jeśli życie po śmierci istnieje naprawdę, nie chcę wiecznego potępienia. Tylko ty możesz pomóc w rozgrzeszeniu mojego życia.

Przerwałam czytanie. Czulałam łzy spływające ciurkiem po moich policzkach. Pociągnęłam nosem, rozglądając się za chusteczkami. W końcu sięgnęłam do torebki. Wyciągnęłam jedną i wytarłam nos. „Babciu, dlaczego nie powiedziałaś, co się wydarzyło? Dlaczego to ukrywałaś? Przecież musiało być ci ciężko. Zostałaś z tym wszystkim sama” - myślałam, pochlipując. „Czego ten człowiek ode mnie oczekuje?” - zadawałam sobie pytanie w myślach. „Jak mam wybaczyć mu to, co zrobił mojej babci? Przecież on powinien spędzić całe życie w więzieniu za to, co zrobił”.

Otarłam oczy, które piekły mnie od łez, i zaczęłam czytać dalej:

To wszystko, co widzisz dookoła, jest moje. Biurowiec, hotel naprzeciwko i sieć hoteli w europejskich stolicach, przetwórnice w porcie, posiadłość w Kopenhadze, mieszkanie w Londynie, trochę ziemi w Nakskov. To nie wszystko. Są jeszcze akcje, konta w banku. Mam wszystko oprócz miłości. I spadkobiercy. Kogoś, kto przejmie cały majątek, jak umrę. Nie chcę ci się narzucać jak twojej babci. Wiem, że tak jak ona jesteś dumna i nie przyjmiesz nic ode mnie. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że mimo takiej fortuny jestem samotny i nieszczęśliwy. Swojego szczęścia nie można próbować budować na nieszczęściu innych. We wszechświecie jest równowaga i prędzej czy później zło, które wyrządziliśmy, powraca do nas. Miłości nie można kupić. Na prawdziwą miłość trzeba sobie zasłużyć. Na to, żeby móc kogoś kochać, też.

Kristian Larsen

Skończyłam czytać, ledwie dostrzegałam litery przez gęsto kapiące łzy. Szybko włożyłam kartki do teczki, wstałam i pobiegłam do drzwi. Chciałam, jak najszybciej wyjść z tego pomieszczenia. Zjechałam windą na dół, nieco się uspokoiłam. Wyszłam z budynku, słyszałam, że ktoś za mną woła moje imię. Nie oglądając się, pobiegłam przed siebie. Złapałam taksówkę i przyjechałam do hostelu, w którym się zatrzymałam. Dopiero kiedy weszłam do pokoju i zamknęłam drzwi, poczułam ulgę. Wzięłam prysznic, połknęłam tabletkę od bólu głowy i położyłam się do łóżka. Cały czas miałam przed oczami obrazy, o których przeczytałam w li-

ście. Tysiące pytań przychodziło mi do głowy, ale na żadne z nich nie znałam odpowiedzi.

„Kim był pierwszy mąż babci? Dlaczego nigdy o nim nie mówiła? Dlaczego po wojnie wyjechali z kraju? Dlaczego kilka lat później babcia wróciła z moim dziadkiem do Polski? Dlaczego? Dlaczego?” - kłębiło się w mojej głowie. „Kim jest Kristian Larsen? Czy miłość może być zła? Przecież jeśli się kogoś kocha, chce się szczęścia tej osoby. Nawet kosztem swojego dobra. Czy to, o czym mówił ten człowiek, to była miłość?”

Nie mogłam zasnąć. Wierciłam się i przewracałam z boku na bok. Wyłączyłam dźwięk w telefonie, nie chciałam już dzisiaj z nikim rozmawiać. Z mamą, z Irenką. Nawet z Rafałem. Chciałam w spokoju zastanowić się nad tym, czego się dowiedziałam. Po długich rozmyślaniach podjęłam decyzję.

24 maja

Obudziłam się po dziesiątej z bólem głowy i oczami opuchniętymi od łez. Bardzo kochałam babcię Janeczkę, zresztą była jedyną babcią, jaką znałam, i bardzo mi jej było teraz żal. Wyobrażałam sobie, co musiała przejść, tracąc równocześnie męża i dziecko. Dziadek też zmarł kilka lat po ich ślubie. Całe życie musiała sobie radzić sama. Kochana babcia, jak ja za nią tęsknię!

Spojrzałam na telefon. Cztery połączenia nieodebrane. Jedno od mamy, jedno od Jana Kubika i dwa od Rafała.

Wybrałam ostatni numer i czekałam na połączenie. Nikt nie odebrał.

„Spróbuję za chwilę” - pomyślałam i zatelefonowałam do mamy.

- Cześć, dzwoniłaś wczoraj?

- Córcia, miałaś zadzwonić, jak dolecisz. Martwimy się o ciebie. Wszystko dobrze?

- Tak, mamó. Byłam po prostu zmęczona. Wyciszyłam telefon i poszłam spać.

- Mogłaś chociaż napisać esemesa. - Usłyszałam nutkę wyrzutu.

-Wiem, przepraszam. Tyle się wczoraj działo, że po prostu zapomniałam. Kopenhaga jest piękna. Mieszkam w uroczym miejscu. Dzisiaj zrobię zdjęcia. Jest naprawdę cudownie.

- A spotkałaś się już z tym, jak mu tam... Garsonem?

- Larsenem, mamó. Tak, wczoraj się spotkaliśmy. -1 co? Opowiadaj!

- To jakiś znajomy babci. Poznali się, kiedy tu przyjechała z Polski.

- Stara miłość?

-Oj, mamó! Jaka tam miłość! Znajomy i tyle. - Nie chciałam opowiadać jej za dużo przez telefon. Powiem jej wszystko, ale w odpowiednim czasie.

- Znajomy? - prychnęła niezadowolona mama. - Ale tak właściwie, to dlaczego on chciał rozmawiać akurat z tobą, nie ze mną czy z wujkiem? O Irence już nie wspomnę?

-Oj, mamó. Wszystko ci wytłumaczę. Ale nie teraz. Spieszę się, pa.

- Ale Julia, poczekaj... - Usłyszałam jeszcze głos mamy.
- Pa, mamó. Mam drugi telefon... -1 rozłączyłam się. Faktycznie, na wyświetlaczu zobaczyłam numer Irenki. „O nie. Nie teraz, proszę...” - westchnęłam i odłożyłam telefon.

Weszłam do łazienki, zrobiłam lekki makijaż i zeszłam do baru na kawę. Jak zawsze w sytuacjach stresowych odczuwałam niemiłosierny głód, ale na szczęście do zjedzenia też się coś w barze znalazło.

Pół godziny później wróciłam do pokoju. Wzięłam do ręki telefon i znów próbowałam połączyć się z Rafałem. Niestety tym razem też nie odebrał. Zrezygnowana podeszłam do okna i otworzyłam je na oścież. Uliczny szum wkradł się do pokoju, na chwilę odrywając mnie od pesymistycznych myśli. „Jak to było?” - zastanowiłam się. „Na prawdziwą miłość trzeba sobie zasłużyć. Na to, żeby móc kogoś kochać, też” - uśmiechnęłam się. W tym momencie usłyszałam dźwięk komórki. Podeszłam do szafki i odebrałam telefon. To był Rafał.

- Cześć, Myszek - powiedział cichym głosem. - Dzwoniłem wczoraj, nie odebrałaś. Coś się stało?

- Cześć, kochanie. Byłam zmęczona, położyłam się wcześniej i wyciszyłam telefon.

- Wszystko w porządku?

- Tak, ale opowiem ci po powrocie. Nie chcę teraz o tym mówić. To długa historia i trochę skomplikowana.

- Dobrze, że już jutro wracasz. Tęsknię za tobą - powiedział dziwnie smutnym głosem.

- Rafał, coś się stało? Masz taki przygnębiony głos.
 - Tak, stało się. - Usłyszałam po dłuższej chwili. - Miałem ci nie mówić przez telefon, nie chcę, żebyś się martwiła, ale nie potrafię cię okłamać.
 - Rafał, co się stało?! - przerwałam nerwowo.
 - Ula jest w szpitalu w ciężkim stanie.
 - Co?! - krzyknęłam. - Ale jak to? Co się stało?
 - Dokładnie nie wiemy. Ktoś ją znalazł wczoraj nad ranem w parku na ławce. Leżała nieprzytomna. Przedawkowała.
 - Co przedawkowała?! - spytałam, nie bardzo rozumiejąc, co Rafał do mnie mówi.
 - Narkotyki.
 - Niemożliwe! Przecież Ula nie bierze żadnych narkotyków!
 - Dla mnie i rodziców to też był szok. W dalszym ciągu jest nieprzytomna, ale lekarze mówią, że z tego wyjdzie. To nie była dawka śmiertelna, ale dostała wstrząsu. Policja szuka tego jej Olka, może on będzie wiedział, o co tu chodzi.
 - Jesteś w szpitalu?
 - Tak. Rodzice też tu są.
 - Chciałabym być teraz z wami.
 - Musisz załatwić swoje sprawy. Zresztą jutro już tu będziesz.
- Odetchnęłam, pocierając dłonią czoło. „Muszę ochłonać” - pomyślałam. Serce mi dudniło.
- Julia, jesteś tam?
 - Tak. Muszę tylko wziąć się w garść - powiedziałam łamiącym się głosem.

-Wszystko będzie dobrze, nie martw się. Muszę kończyć. Do zobaczenia. -Pa.

Położyłam się na łóżku, dalej ściskając w ręku telefon. Próbowałam wyprzeć z głowy wszystkie nurtujące mnie myśli i pytania. Zaczęłam liczyć czerwone róże na zasłonach w oknie, ale zanim doliczyłam do pięciu, wybuchnęłam płaczem przepelnionym smutkiem, żalem i nieopisaną wręcz bezsilnością.

Musiałam usnąć, bo kiedy znów usłyszałam odgłos dzwonka w telefonie, zerwałam się nieprzytomnie, chwilę rozmyślając, gdzie jestem i co tu robię. Na wyświetlaczu zobaczyłam numer Jana Kubika. Odebrałam.

- Witam. Pani Julio, czy możemy porozmawiać?
- Dzień dobry. Słucham - powiedziała zrezygnowana.
- Mój chlebodawca chciałby się z panią spotkać. Wczoraj wybiegła pani tak szybko i niespodziewanie.
- Dobrze. O której godzinie?
- O czwartej w biurze?
- Może być.
- Kierowca po panią podjedzie.
- Sama przyjadę.
- W takim razie czekamy na panią. Do zobaczenia.
- Do widzenia.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziła trzynasta. Aby uwolnić się od natrętnych myśli, wyjęłam laptopa i otworzyłam folder zatytułowany „Mój pamiętnik”. „Jakbym znów była w podstawówce” - pomyślałam i zaczęłam pisać.

Przez to pisanie o mało nie zapomniałam o spotkaniu z Larsenem. Kiedy się zorientowałam, która godzina, szybko włożyłam sukienkę, przeczesalam rękoma włosy i bez poprawiania makijażu wybiegłam na ulicę. Na szczęście, kiedy jechałam wczoraj samochodem, widziałam, że niedaleko znajduje się przystanek metra. Szybkim krokiem poszłam w tamtą stronę, znalazłam odpowiednie wejście, kupiłam bilet i po kilku minutach siedziałam w wagoniku.

Kiedy dojechałam na miejsce, było kilkanaście minut po czwartej. W holu czekał na mnie Jan Kubik.

- Dzień dobry. Przepraszam za spóźnienie.

- Pan Larsen nie lubi, kiedy ktoś się spóźnia - odpowiedział chłodno.

- Trudno. - Wzruszyłam ramionami.

Zaprowadził mnie pod znajome drzwi i otworzył je. Weszłam do środka. Podobnie jak wczoraj rolety były zasunięte i panował półmrok. Kristian Larsen siedział w swoim wózku za wielkim, dębowym biurkiem. Podeszłam.

- Witaj - powiedział chrapowatym, ledwie słyszalnym głosem.

Zrobiło mi się go żal. To był już tylko stary, niedołężny człowiek, który chciał odkupić grzechy młodości. Zobaczyłam prawie przezroczyste oczy, wpatrzone we mnie. Głowa Larsena kiwała się, jakby szyja nie mogła utrzymać jej ciężaru. Ręce z niezliczonymi plamami starczymi, oparte o boki fotela, drżały bez ustanku. Podłączone do ciała rurki bezustannie toczyły jakiś płyn do ciała, które tylko czekało na chwilę wytchnienia.

- Przeczytałaś historię mojego życia. Nie byłem dobrym człowiekiem. Teraz to wiem.

- Ma pan rację. Był pan bezdusznym i egoistycznym mężczyzną. Ale najważniejsze, że pan o tym wie. Nie jest łatwo przyznać się przed kimś, a szczególnie przed sobą do czegoś takiego.

- Przebaczysz mi?

- Ja nie jestem upoważniona do tego, żeby panu przebaczyć. Zniszczył pan życie mojej babci, swojej rodzinie. To oni muszą panu wybaczyć. Musi pan wierzyć, że kiedyś się spotkacie. Tam, po drugiej stronie spotka pan babcię Janeczkę, Michała, swoją żonę, synka. Ich proszę błagać o przebaczenie.

Larsen oddychał ciężko, z zamkniętymi oczami.

- Cieszę się, że tu przyjechałam. Dziękuję, że odłonił mi pan choć niewielki skrawek życia mojej babci. Mam nadzieję, że kiedyś poznam całą jej historię.

- Myślisz, że Janka mi przebaczy?

- Tak. Wierzę w to.

- Dziękuję ci za te słowa. Były mi potrzebne.

Zobaczyłam, że z jego oczu spływają łzy. Siedział nieruchomo ze spuszczoną głową. Podeszłam i pogładziłam go po drżącej dłoni.

- Janka? - zapytał nieprzytomnie, podnosząc na mnie wzrok.

- Julia - odpowiedziałam.

Głowa znów opadła mu na ramiona. Oddychał ciężko, miarowo. „Zasnął” - pomyślałam. Cicho podeszłam do drzwi i wyszłam z gabinetu.

Przy windzie stał Jan Kubik.

- Jest w bardzo ciężkim stanie. - Wskazał głową na zamknięte drzwi. - To starość.

- Chyba zasnął - powiedziałam bezmyślnie.

- Coraz częściej mu się to zdarza. Zadzwonię po pielęgniarkę, żeby weszła do niego. Mamy dwie osoby, które się nim opiekują - wyjaśnił, widząc moją zdziwioną minę. -Cały czas ktoś przy nim jest. Mogę panią zaprosić na kawę? Chciałbym coś pani opowiedzieć.

- Jeszcze coś? - westchnęłam. Myślałam już teraz tylko o powrocie do Polski i stanie Uli.

- To nie zajmie dużo czasu. Proszę.

- Dobrze - zgodziłam się po namyśle.

Kubik szybko wykonał telefon, za chwilę z windy wysiadła kobieta, która, jak przypuszczałam, była ową pielęgniarką. Kubik powiedział coś do niej po duńsku. Wsiedliśmy do windy i zjechaliśmy kilka pięter do niewielkiej, ale przytulnej restauracji.

-A może chce pani coś zjeść? Mają tu dobre kanapki, sałatki, desery.

- Dziękuję, nie jestem głodna. Co pan mi chciał powiedzieć?

Kubik zamówił dwie kawy i zaczął mówić:

- O tej historii dowiedziałem się niedawno. To ja pisałem list, a mój klient dyktował, co mam pisać. Tak naprawdę to jest tak jakby mój wujek. Kristian miał rodzeństwo - dwie dużo młodsze siostry. On był najstarszy. Bardzo kochał swoje siostry, dbał o nie, pilnował, żeby włos im z głowy nie spadł. Był z nimi bardzo zżyty. Historii wuja nie będę

pani opowiadał, bo w większości pani ją zna. Siostry Kristiana wyszły za mąż, kiedy ten już wyjechał z żoną do Kopenhagi. Jedna z nich zachorowała na raka i niedługo potem zmarła. Jej mąż wyjechał i ślad po nim zaginął. Druga -Inge - wyszła za mąż za Polaka. Chcieli mieć dziecko, ale okazało się, że nie mogą. Adoptowali chłopca z sierocińca. To ja jestem tym chłopcem. Wszystko się układało, ja byłem coraz starszy, dobrze się uczyłem, potem zacząłem studiować prawo. Rodzice jechali, żeby mnie odwiedzić, i zdarzył się wypadek. Ojciec stracił panowanie nad kierownicą, zginęli oboje na miejscu. Zostałem sam. Wujek też był sam. Zaczęliśmy coraz częściej się spotykać, skończyłem studia, zatrudnił mnie u siebie i już tak zostało. Jestem teraz, jak to się mówi, jego prawą ręką. Ożeniłem się, mam cudowną żonę i dwoje dzieci. Dziewczynkę i chłopca - uśmiechnął się. - Wujek zawsze mówił, że ja żyję tylko dlatego, że nie jestem z nim spokrewniony. Wszyscy jego krewni, cała rodzina poumierali. Zostałem tylko ja, bo byłem adoptowany. Uważa, że ciąży nad nim klątwa.

- Przykro mi - odezwałam się w końcu.

- To spotkanie z panią było dla niego bardzo ważne. Musiał komuś z waszej rodziny wyznać prawdę. Wybrał panią, bo jest pani bardzo podobna do babci.

- Tak, wiem. Mówił mi o tym. Nigdy nie miałam okazji oglądać zdjęć babci, kiedy była dziewczyną. Nie wiem, jak wyglądała. Ale ona też często mi mówiła, że jestem taka sama jak ona, tylko w młodszym wcieleniu. Zawsze też rozumiałyśmy się bez słów. Żałuję tylko, że nie opowiedziała mi o swoim życiu. Rzadko mówiła o pobycie tutaj. Teraz wiem dlaczego.

-Wuj nie jest złym człowiekiem. On tylko szukał miłości.

- W ten sposób? - spytałam drwiąco. - W takim razie proszę się nie dziwić, że jej nie odnalazł.

Spojrzałam na swoją komórkę. Nie było żadnego nieodebranego połączenia ani esemesa.

- Coś pani powiem. Wuj dowiedział się, że pani babcia zaczęła tworzyć polską bibliotekę w Maribo, tam, gdzie poznała pani dziadka. Pracowała jakiś czas w szkole, uczyła języka polskiego. Chciała, żeby polscy emigranci i ich dzieci mogli czytać książki pisane po polsku. Zdobyła wiele pozycji, ale po jej wyjeździe nikt nie kontynuował tej pracy. Kiedy wuj się o tym dowiedział, postanowił wyremontować budynek i zakupić książki. Wszystkie wydane w Polsce. To była piękna biblioteka, ale z czasem dzieci dorosły, a ich dzieci już coraz mniej chciały czytać w języku dziadków i ojców. Budynek stoi do dziś. Wypożyczalnia książek jest w dalszym ciągu, ale odbywają się tam również różne zajęcia dla dzieci - tańce, rysunki, garncarstwo. Biblioteka nosi imię pani babci - Janiny Lipiec.

Słuchałam zdziwiona tego, co Kubik do mnie mówi. Byłam naprawdę zaskoczona tą wiadomością.

- Grób pierwszego męża pani babci jest odnowiony. Wuj Kristian pamięta, żeby był zawsze wyczyszczony. Kiedyś często jeździł tam sam, teraz jeżdżę ja. Na miejscu jest osoba, która opiekuje się nim przez cały rok.

-Chciałabym kiedyś pojechać w miejsca, gdzie żyła moja babcia - powiedziałam z łezką w oku.

- Może przedłuży pani pobyt u nas? Pozna pani moją rodzinę, zawiozę panią do Maribo i Nakskov... - Zachęcał mnie.

- Bardzo bym chciała, ale teraz nie mogę - powiedziałam przeprasząc.

Po raz kolejny nerwowo zerknęłam na telefon.

- Czeka pani na wiadomość?

- Tak - westchnęłam.

Nie wiem, jak to się stało, ale zaczęłam opowiadać mu o Rafale, o Uli i o tym, co wydarzyło się wczoraj.

- Moja młodsza koleżanka po fachu... - Puścił do mnie oczko.

- Studiuje prawo.

-Tak.

- Proszę się nie martwić. Na pewno z tego wyjdzie. Pewnie już nigdy w życiu nie odważy się wziąć narkotyków. A spróbować chce każdy.

- Ja nie próbowałam. I jakoś nie żałuję.

- A ja próbowałam. I żałuję - powiedział, konspiracyjnie nachylając się do mnie.

- Oby pan miał rację.

Chwilę jeszcze posiedzieliśmy, rozmawiając o różnych sprawach. W końcu postanowiłam się pożegnać. Chciałam przez chwilę pobyć sama, chociaż towarzystwo Kubika okazało się nad wyraz miłe. Po krótkiej namowie skorzystałam z usług kierowcy Larsena, który podwiózł mnie pod hostel.

Byłam tak zmęczona, że padłam na łóżko w ubraniu. Postanowiłam, że trochę odpocznę, a potem wybiorę się jeszcze na spacer do portu. Najpierw jednak chciałam zadzwonić do Rafała. Odebrał po pierwszym sygnale.

- Co u was? Jak się czuje Ula? - dopytywałam.
- Lekarze mówią, że wszystko jest na dobrej drodze.
- Bardzo się cieszę. Chciałabym już z wami być.
- Ja też tęsknię. Dobrze, że jutro wracasz. Ale powiedz, co u ciebie. Dowiedziałaś się czegoś o babci?
- Tak, ale o wszystkim opowiem ci jutro. Nie chcę mówić przez telefon.
- Dobrze. Będę czekał na lotnisku. Kocham cię - ściszył głos.
- Ja ciebie też. Nawet nie wiesz jak bardzo. Rozmowa z Rafałem uspokoiła mnie. Odzyskałam siły i wyszłam z hostelu. Wybrałam się do znanej mi już dzielnicy portowej, która ponownie mnie zauroczyła. Postanowiłam, że następnym razem przyjadę tu z Rafałem. A przyjadę na pewno!

26 maja

Następnego dnia rano pojechałam taksówką na lotnisko. Ku mojemu zdziwieniu czekał tam na mnie Jan Kubik. Kiedy mnie zauważył, pomachał ręką na przywitanie i podszedł szybkim krokiem.

- Dzień dobry. Cieszę się, że zdążyłem, żeby panią pożegnać w moim i wuja imieniu.
- Jestem Julia, proszę tak do mnie mówić - powiedziałam, widząc szczerze uśmiechniętą twarz Kubika.
- Bardzo mi miło. Jan. - Podał mi rękę. - Właściwie Janek, prawda?

- Tak, Janek, Jaś, Jasiek. Jak sobie życzysz - roześmiałam się.
- Chodź, mam coś dla ciebie. - Pociągnął mnie za rękę. Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął zwykłą, białą kopertę. - To dla ciebie. Od wuja - dodał, kiedy zauważył moją zaskoczoną minę.

Mając złe skojarzenia z wręczaniem kopert w naszym kraju, odruchowo cofnęłam się, ale uśmiech na twarzy Janka sprawił, że szybko się opamiętałam i sięgnęłam po prezent. Wzięłam do ręki kopertę i zajrzałam do niej. W środku była kartka i coś jeszcze. Wyjęłam to. Na kartce było napisane kilka słów po polsku: „Dziękuję, że przyjechałaś”. Spojrzałam na drugą rzecz - to było stare, pożółkłe zdjęcie. Na pierwszym planie stał drewniany wóz, za nim roześmiane dwie dziewczyny. Moje oczy od razu się zaszkliły, kiedy spojrzałam na pierwszą z nich. Owalna twarz, duże oczy, ciemne włosy, charakterystyczny dołeczek w prawym policzku - to byłam ja. Oczywiście wiedziałam, że dziewczyną ze zdjęcia to moja babcia. Nie mogłam oderwać wzroku od roześmianej dziewczyny na fotografii. Oczy zaszyły mi łzami i zaczęłam pochlipywać. Janek przytulił mnie, nic nie mówiąc. Po chwili znów spojrzałam na zdjęcie. Obok babci stała śliczna dziewczyna z burzą kręconych włosów dookoła twarzy. Jej filuterne spojrzenie świadczyło o pogodnym i radosnym usposobieniu. Odwróciłam pożółkłą, pogniecioną fotografię. Z tyłu widniał napis: „Janina i Helena, 1946”. Przytuliłam zdjęcie mocno do serca i rozplakałam się.

Kiedy się w końcu uspokoiłam, Janek zaprowadził mnie do hali odpraw.

- Cieszę się, że tu przyjechałam. Podziękuj wujowi za zdjęcie. To dla mnie wyjątkowy prezent.

- Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś tu przyjedziesz.

- Na pewno. - Odwróciłam się, znów czując łyzy pod powiekami.

W Pyrzowicach byłam wczesnym popołudniem. Przywitał mnie Rafał z bukietem kolorowych kwiatów w rękach. Przytulił mnie mocno.

- Dobrze, że jesteś - szepnął mi do ucha. Wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy w drogę do Sośnicy.

- A może od razu pojedziemy do szpitala? - spytałam.

- Właśnie stamtąd wracam. Nic się nie zmieniło. Ula jest ciągle nieprzytomna, ale lekarz prowadzący powiedział, że idzie ku dobremu. Jest pod dobrą opieką. Pojedziemy tam jutro z samego rana, dobrze?

- Dobrze, niech będzie - zgodziłam się, odczuwając coraz to większe zmęczenie. - A czy już wiadomo coś więcej? Skąd te narkotyki? To takie niepodobne do Uli.

- No właśnie. Tutaj mamy problem, bo z badań wynika, że brała je od niedawna.

- Ostatnio dziwnie się zachowywała. Myślisz, że to był powód?

- Pewnie tak. W dodatku policja nie może odnaleźć jej chłopaka. Nikt o nim nie słyszał, w żadnym szpitalu nie pracuje taki lekarz.

- Dziwna sprawa.
- Policja sprawdziła jej komórkę. Pod hasłem „Olek” widnieje numer telefonu, ale cały czas jest niedostępny. Policja nie może go namierzyć. Mówią, że pewnie karta leży na dnie jakiegoś jeziora albo rzeki.
- Miejmy nadzieję, że odnajdą tego Olka. Wydaje mi się, że on ma w tej sprawie dużo do powiedzenia - westchnęłam.
- Też tak myślę - powiedział zamyślony. - Ale opowiadaj, jak twoja wizyta w kraju przodków. - Wysilił się na uśmiech.
- Wszystko opowiem ci w domu. A właściwie przeczytasz. Spojrzał pytająco.
- Mam list od dawnego znajomego mojej babci. Częściowo opisał to, czego babcia nigdy nam nie zdradziła. Ale to nie wszystkie odpowiedzi na moje pytania. Nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się poznać całą prawdę.
- Resztę drogi przebyliśmy w milczeniu. Kiedy w końcu dojechaliśmy do Sośnicy, prawie zasypiałam w fotelu, zmęczona wrażeniami z ostatnich dni. Weszliśmy do domu. Przywitał nas Piernik, który podbiegł do mnie z wyprężonym ogonem i zaczął się łąsić do nóg. To było niecodzienne zachowanie, zważywszy, że zazwyczaj nie zwracał na mnie większej uwagi, kiedy przyjeżdżałam do Rafała. Widocznie uznał to miejsce za swój nowy dom, gdzie mógł wyzwolić swoją kocią naturę. Wzięłam go na ręce i przytuliłam do policzka. Zamruczał cicho, mrużąc oczy.
- Rafał zrobił kawę i usiedliśmy na tarasie.
- Przeczytaj. - Podałam mu białą teczkę.

Wziął papiery do ręki i zagłębił się w lekturze. Zamknęłam oczy i leniwie wygrzewałam się, wystawiając twarz do słońca. Dookoła panowała cisza mącona jedynie śpiewem ptaków i buczeniem owadów. Piernik rozłożył się wygodnie na moich kolanach, oddychał rytmicznie. Starłam się o niczym nie myśleć, chłonąc każdy ciepły promyk wiosennego słońca.

- Smutna historia. - Rafał wyrwał mnie ze słodkiego półsnu. - Twoja babcia wiele przeszła. Musiała być bardzo silną kobietą. Poradziła sobie ze wszystkim sama.

- Tak, ona była wspaniała. Mam nadzieję, że kiedyś poznam całą jej historię.

Opowiedziałam Rafałowi o moim spotkaniu z Kristianem Larsenem i o Janku Kubiku.

- Chciałabym tam wrócić. Odwiedzę miejsca, gdzie żyła babcia. Pojedziesz ze mną?

- Oczywiście, że pojadę.

- Może w lipcu?

- Świetnie. Zrobimy sobie wakacyjny wypad.

Nagle na tarasie pojawiła się Julcia. Wpadła jak burza i od razu podbiegła do mnie.

- Ciooocia! - Objęła mnie, płosząc przy tym Piernika, który czym prędzej czmychnął z moich kolan.

- O, moja mała królewna! - Posadziłam ją sobie na kolanach i uściskałam mocno.

- Julka, tak nie można. Ciocia chce odpocząć po podróży. - Usłyszałam głos Oli.

- Już odpoczęłam - powiedziałam wesoło.

- Tłumaczyłam jej, że jesteś zmęczona, ale jak się dowiedziała, że już wróciłaś, nic nie było w stanie jej zatrzymać.

-I bardzo dobrze! Mam coś dla ciebie - powiedziałam do mojej chrześnicy i pobiegłam do nierozpakowanej jeszcze torby. Po chwili wróciłam z niewielką, kolorową maskotką. Pluszowy piesek do złudzenia przypominał Guzika i nie mogłam powstrzymać się przed kupnem, kiedy zobaczyłam go na jednej ze sklepowych witryn w kopenhaskiej dzielnicy portowej.

- Jaki słodziak! - zapiszczała Julcia z radością. - Mamo, zobacz! Mamy trzeciego psa! Wygląda jak szczeniaczek! Zabiorę go do przedszkola!

- W przedszkolu chyba macie dużo zabawek, co? -Tak, dużo. Ale nie mam przyjaciela - powiedziała smutno dziewczynka.

- Jak to? - zdziwiłam się. - Przecież tam masz wielu przyjaciół, wszyscy cię lubią. A już najbardziej to chyba pani Jola. - Popatrzyłam znacząco na Olę.

-Ale mój największy przyjaciel jest chory i nie chodzi do przedszkola - rzekła Julcia, teatralnie wzdychając, i zrobiła smutną minę.

- Pawełek?

- Tak, Pawełek - westchnęła.

- Wyzdrowieje i wróci, nie martw się.

-Ale nie wiadomo, kiedy wyzdrowieje. - Wzruszyła ramionami.

Popatrzyłam na Olę z lekkim niepokojem. Przyjaciółka z niewzruszoną miną słuchała, co mówi córka.

- A na co jest chory? - dopytywałam.

- Na ospę albo jakąś inną cholere.
- Julka! - upomniała ją mama. - Nie można tak mówić!
- Ale jego tata tak powiedział - broniła się dziewczynka.

Wszyscy zaczęliśmy się śmiać, co sprawiło, że moja mała imienniczka naburmuszona postanowiła się nie odzywać do nas przez resztę dnia. Oczywiście szybko o tym zapomniała, racząc nas opowieścią o tym, jak razem z Zuzią i Asią postanowiły pomóc paniom woźnym i uprały w przedszkolnej umywalce wszystkie ręczniki.

Dzisiaj po śniadaniu pojechaliśmy do szpitala. Kiedy weszłam do budynku, od razu przypomniał mi się Rafał, który jeszcze nie tak dawno temu walczył tutaj o życie. Ula leżała bez ruchu na szpitalnym łóżku, przypięta do monitora, na którym wyświetlały się jakieś wykresy. Wydawała się jeszcze szczuplejsza i drobniejsza niż w rzeczywistości. Jej biała cera zlewała się z bielą szpitalnej pościeli.

Rafał poszedł porozmawiać z lekarzem i policjantem, który prowadzi śledztwo w sprawie tego zdarzenia. Zostałam z Ulą sama. Podeszłam, delikatnie pogłaskałam ją po ręce.

-Cześć! Widzę, że pozazdrościłaś bratu leniuchowania - powiedziałam ze łzami w oczach. - Musisz być dzielna. Wszyscy liczymy na to, że szybko do nas wrócisz.

Nagle drzwi otworzyły się i stanął w nich mężczyzna. Miał ciemne, przydługawe włosy i kilkudniowy zarost. Spojrzał na mnie zaskoczony, po czym jego wzrok zatrzymał się na nieprzytomnej Uli.

- Olek? - spytałam, patrząc na niego.

Nie odpowiedział mi. Cofnął się i zamknął za sobą drzwi.

„Dziwne” - pomyślałam. „Czyżby to był jej Olek?” Znów spojrzałam na śpiącą Ulę i nagle serce zaczęło mi bić jak oszalałe. Wybiegłam z sali i rozejrzałam się po korytarzu. Poza przechodzącą pielęgniarką nie było na nim nikogo.

-Widziała pani mężczyznę, który wyszedł stąd przed chwilą?! - krzyknęłam.

- Zbiegł na dół - odpowiedziała oszołomiona.

Szybko wyciągnęłam komórkę i wystukałam numer Rafała. Opowiedziałam mu szybko, co się przed chwilą wydarzyło, a potem wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Pościg za mężczyzną w czarnej bluzie, obezwładnienie go i skucie w kajdanki było najbardziej brawurową akcją, jaką udało mi się widzieć do tej pory w moim życiu. Policjant, który był akurat z Rafałem, poinformował o sytuacji swoich kolegów, którzy czekali na niego przed szpitalem. Schwytali mężczyznę, kiedy ten wybiegał z budynku. Korei - bo on był owym mężczyzną - przyznał się do wszystkiego. Okazało się, że po napadzie na Rafała cały czas spokojnie wynajmował mieszkanie. Oczywiście pod zmienionym nazwiskiem. Zmienił wygląd - zapuścił włosy i zarost, kupił okulary. Czekał, aż wszystko przycichnie, żył, używając wyłącznie gotówki. Wtedy zupełnie przypadkiem poznał Ulę. Kiedy zorientował się, że to siostra człowieka, przez którego nie wypalił interes jego życia, postanowił się zemścić. Rozkochał ją w sobie, podawał się za dobrze rokującego lekarza, zakochanego w niej do szaleństwa. Ula wierzyła w każde jego słowo. Kiedy Korei zrozumiał, że jest gotowa zrobić dla niego wszystko, zaczęły się szantaże, kłótnie, nawet bicie. W końcu przyniósł dziew-

czynnie narkotyki. Ula, chcąc przypodobać się swojemu kochanemu mężczyźnie, zaczęła brać to, co przynosił. Któregoś dnia podał jej za dużo i straciła przytomność. Wyniósł ją do parku i tam zostawił. Jednak szybko przekonał się, że to, co do niej czuje, to prawdziwa miłość. Czuł wyrzuty sumienia, tęsknił za nią. Przyszedł do szpitala, żeby sprawdzić, jak się czuje. Wiedział, jak bardzo ją skrzywdził. Chciał się z nią pożegnać i wyjechać. Nie przypuszczał, że spotka tam mnie. Na początku nie zaskoczyłam, ale kiedy spojrzał mi w oczy, wiedziałam, że to Korei. Mimo widocznych zmian rozpoznałam w nim człowieka, którego pokazywali mi policjanci na zdjęciu. Co prawda pamięci do twarzy nie mam, ale ten wzrok poznałabym wszędzie.

Po kolejnym dniu pełnym nieoczekiwanych zdarzeń leżę w łóżku i odpoczywam. Z lampki sączę czerwone wino, od czasu do czasu zerkając na babciny zegar odmierzający minuty, sekundy. Rozmawiałam przez telefon z mamą, wujkiem i Irenką. Musimy się spotkać wszyscy razem. Chcę opowiedzieć im o tym, czego dowiedziałam się od Larsena. Nie mogę tej historii zatrzymać tylko dla siebie. Minęło już wiele lat. Jestem pewna, że babcia chciałaby, żebyśmy poznali prawdę.

Pora spać. Jutro wracam do pracy. Jak to miło wiedzieć, że tam nie spotka mnie nic nieoczekiwanego. Mam już dość niespodzianek, tajemnic i nieprzewidzianych zdarzeń. Czas wrócić do normalności.

12 czerwca

Długo nie pisałam. Przez ten czas wiele się wydarzyło. Najważniejszą sprawą oczywiście było to, że Ula odzyskała przytomność. Potwierdziła zeznania Korela, który siedzi w areszcie i czeka na proces. Dziewczyna bardzo przeżyła tę sytuację. Ona naprawdę go kochała, a Olek *vel* Korei sprytnie to wykorzystał. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze. Korei napisał do Uli list. Píše w nim, że bardzo żałuje tego, co zrobił, że zakochał się w Uli i takie tam... Myślę, że zrobił to tylko po to, żeby znów zagrać na jej uczuciach, wzbudzić litość i ugrać może lżejszą karę. Ale kto wie? Może dziewczyna naprawdę obudziła w nim prawdziwe uczucie?

A jeśli chodzi o prawdziwe uczucie - Ania i Adrian wzięli ślub! Jak w antycznej tragedii, tyle że z dobrym zakończeniem. Po naszej ostatniej rozmowie przez telefon Ania zrobiła swojemu narzeczonemu niespodziankę i wyjechali we dwójkę do Pszczyzny. Urokliwe miasteczko widocznie zaraziło ich romantyzmem, bo postanowili wziąć szybki, cichy ślub.

Okazało się, że motorem wszystkich przedślubnych nieporozumień była mamuśka pana młodego. To ona chciała wystawnego ślubu z całą tą przesadną otoczką. Adrian był w potrzasku. Z jednej strony chciał zwykłej, skromnej aczkolwiek eleganckiej uroczystości, z drugiej - starał się sprostać żądaniom matki, która raz po raz groziła zawałem albo jakąś inną cholera (cytując Julcię), jeśli wesele nie będzie godne co najmniej arcyksięcia lub panicza na staropolskich włościach. Na szczęście pan młody w ramionach swojej uko-

chanej szybko się opamiętał i wrócił z trzydniowej wycieczki jako szczęśliwy mąż pani Anny Głowackiej-Mazur. Prawdą jest, że teściowa Ani nie dostała zawału, ale do dziś nie może wybaczyć synowi tego „szczeniackiego zachowania” i obmyśla, jak przekazać tę wiadomość niezliczonej liczbie wujków, ciotek oraz kuzynom co to dziesiąta woda po kisielu, którzy szykowali się na niezapomniany bal weselny z klaunem i ognistym świniakiem w rolach głównych.

Pan Antoni zaś czeka na wizytę swojej rodziny. Syn oraz córka z rodzinami mają odwiedzić go już niebawem. Chciałabym, żeby te spotkania przyniosły radość i ukojenie mojemu sąsiadowi. To bardzo wartościowy człowiek. Lubię z nim rozmawiać, bo każda taka rozmowa daje mi dużo do myślenia. Potrafię mówić mu o wszystkim, jest moim przyjacielem. Wiem, niektórym wydaje się dziwne, że można przyjaźnić się z mężczyzną, w dodatku ponad trzydzieści lat starszym, ale naprawdę tak jest. Kiedy opowiedziałam mu

o wizycie w Danii, wysłuchał mnie bardzo uważnie.

-To dla mnie nowa sytuacja. Dowiedziałam się wielu faktów z życia babci, ale zostało jeszcze tak wiele tajemnic, niedopowiedzeń. Chciałabym je poznać. Z drugiej strony boję się tego, co mogę znaleźć.

- Ścieżki przeszłości czasem zataczają kręgi, z którymi wcześniej czy później musisz się zmierzyć - odpowiedział

1 przytulił mnie. - Kiedy już stawisz im czoło i zrozumiesz je, łatwiej będzie ruszyć w dalszą drogę.

Kilka dni temu odwiedziłam grób babci i dziadka. Pamiętam, że babcia bardzo lubiła stokrotki. Zawiozłam jej bukiet tych kwiatów, ułożyłam na środku niewielkiej płyty.

Zapaliłam znicze. Mam nadzieję, że gdzieś tam, po drugiej stronie, babcia jest szczęśliwa. Chciałabym cofnąć czas, porozmawiać z nią, przytulić, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Codziennie patrzę na tę dziewczynę ze starego zdjęcia. Widzę pełną radości osobkę, która ma marzenia, cele do zrealizowania. Jeszcze nie wie, że przewrotny los nie okaże się jej sprzymierzeńcem.

Moja mama z ciężkim sercem przyjęła wiadomość o przeszłości swojej matki. Kiedy spotkaliśmy się w czwórkę w moim małym mieszkanku, opowiedziałam jej, wujkowi i Irence o pierwszym mężu babci, jej nienarodzonym dziecku i Larsenie, którego miłość do Janki okazała się przyczyną lawiny nieszczęść, jaka spadła na obie strony. Irenka była niepokieszona, usłyszawszy, że Larsen nie wspomniał nawet słowem o spadku, na który po cichu liczyła.

- Skoro jest taki bogaty, powinien wypłacić nam odszkodowanie. - Nie dawała za wygraną. - Możemy iść z tym do sądu.

- Irka, przestań! - Wujek szybko zgasił jej zapał. - Po kim ty jesteś taka pazerna?

Zdjęcie babci i Heleny oprawiłam w drewnianą ramkę i postawiłam na szafce pod starym zegarem. No właśnie, zegar. Ostatnio zaczyna szwankować, muszę chyba go dać na przegląd do zegarmistrza. Szkoda, żeby całkiem się zepsuł. Może kiedyś ja przekażę go mojej wnuczce?

Mojej wnuczce?... Hm... Coraz częściej zdarza nam się mówić z Rafałem o dzieciach. Coraz bardziej czuję, że na rozmowach się nie skończy...

Koniec

OD AUTORKI

Kochani!

Jeśli jesteście tu, to znaczy, że najprawdopodobniej przeczytaliście tę książkę. To moja druga po Ścieżkach życia opowieść o Julii, jej rodzinie i przyjaciółach. W pierwszej części tej powieści poznajemy historię Weronki - babci Julii, która od najmłodszych lat zмага się z zawiłymi ścieżkami prowadzącymi ją przez życie. Druga część to powrót do teraźniejszości i ponowne spotkanie z bohaterami.

Lata drugiej wojny światowej i tuż po niej to okres, kiedy poznajemy babcię Julii i wraz z nią dzielimy smutki, radości, wielką tragedię rodzinną, piękną miłość, wyjazd z kraju, kolejne rozczarowanie życiem, samotność oraz próby pokonywania przeciwności losu.

Jednakże nie jest to na pewno książka historyczna ani podróżnicza. Nie wszystkie zdarzenia historyczne opisane w książce oraz wydarzenia kulturowe miały miejsce w rzeczywistości. Były one wymyślone przeze mnie jedynie na potrzeby fabuły. Przykładem może być Święto Dębu, podczas którego Janka z Jacobem spędzili miłe popołudnie, rozmawiając o historii Maribo — o ile mi wiadomo, takiego święta w tym miasteczku nie ma. Nie ma tam również biblioteki imienia Janiny Lipiec, choć polskie szkoły w Danii istniały naprawdę.

Wątki dotyczące wojny mogą nie być spójne z rzeczywistym jej przebiegiem. Jak już wspomniałam, nie chodziło mi o napisanie książki historycznej, a zawarte w niej zdarzenia (czasem nieco podkoloryzowane) posłużyły jako tło powieści.

Prawdziwe są natomiast historia króla Eryka, ksiądz objeżdżający na rowerze duńskie wsie i miasteczka, odprawiający msze w magazynach lub pod gołym niebem i kilka innych wątków, które wychwyci uważny czytelnik. Istnieją również uroczy hostel Bedwood, w którym zatrzymała się Julia podczas wizyty w Kopenhadze, oraz kanał portowy Nyhavn - z kolorowymi kamieniczkami, niezliczoną liczbą barów, restauracji i sklepików.

Na koniec chciałabym podziękować.

Przede wszystkim Wam, drodzy Czytelnicy. To dzięki Wam powstała ta powieść, bo daliście mi wiarę, że warto gonić za marzeniami. Wasze pytania o kontynuację Ścieżek życia, historię zegara i dalszych losów Julii sprawiły, że w mojej głowie narodził się pomysł, by przedstawić historię Weroniki. Czy dobry? Nie wiem, nie mnie to oceniać. Myślę, że Wy odpowiecie na to pytanie...

Chcę również podziękować wspaniałym blogerkom książkowym, które poznałam w ostatnim czasie. To Wasze recenzje i dobre słowa sprawiły, że chciałam pisać więcej. Dziękuję szczególnie: Wioli z Subiektywnie o książkach, Madzi z Czytamy, bo kochamy, Kasi z Czytanie moja miłość, Agnieszce z Książka Non Stop, Klaudii z Nowych Horyzontów oraz Pani Annie Pruskiej, która była pierwszym

czytelnikiem-recenzentem Ścieżek życia.

Dziękuję, dziewczyny!

Dziękuję Pani Wiesławie Myszcze za wszystkie odpowiedzi na moje pytania dotyczące czasów wojny.

Specjalne podziękowania dla mojej rodziny, szczególnie dla męża, syna, rodziców, a także dla przyjaciół oraz znajomych. Dla Joli, Dagi, Bożenki i Uli za to, że są. Za dobre słowo i dodanie skrzydeł!

Edyta Kowalska